



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.]

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni

Laskauera i Babickiego.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz pelitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Przy kominku.

(Pogawędka).

Największą niespodzianką podczas zimy bieżącej czy bieżącego karnawału — jest mróz. Nie spodziewaliśmy się go już wcale, ale zawitał, w palmy i paprocie ubrał szyby mieszkań naszych i może: „a zaś!“ różnym chorobskom powie. Z powodu niestałości pogody, ciepła, niewłaściwego miesiącom zimowym, i to Bóg wie jakiego — cała Warszawa kaszle i kicha, a nie masz prawie domu, gdzieby nie zagnieździła się influenza i nie popsowała szyków niejednej tancerce, na bal się wybierającej. Co tu robić?... A oczywiście z poradą do lekarza.

— Doktorze ratuj!...

— Do łóżeczka, okryć się ciepło, na poty wziąć i — tydzień jaki poleżeć spokojnie...

— Ależ na Boga! jutro bal!...

— Cóż ja na to poradzę?

— Bal literacki, doktorze!

— Nie jam go wymyślił.

— Konkurs poetów!...

— Cóż on mnie może obchodzić?

— Ale mnie obchodzi.

— Czy do uwieńczenia masz pani już wiesz-cza upatrzonogo?...

— Może...

— Daj więc pani swój głos przyjaciółce,

a sobie kilkanaście banieczek pod łopatkami postawić rozkaż.

— Dziękuję!...

— Niema za co, bo operacya ta nie należy do zbyt przyjemnych.

— Ale ja na balu być muszę, muszę!... Mój doktorze, mój złoty doktorze!... ulecz mnie na te godzin kilka.

— Czego więc pani chce właściwie?

— Niech nie kaszle, nie kicham... Zresztą mniejsza o kaszel!... ten nawet może być interesujący i stać się przedmiotem dość ciekawej rozmowy... Ale katar...

— Ten mnie mniej, niż kaszel pani, obchodzi...

— Mnie przeciwnie!...

— Przy lada przeziębieniu się, nie trudno dostać zapalenia płuc.

— Nie przeziębę się. Więc?...

— Nie pozwalam pani z łóżeczka się ruszać!...

— Pan jesteś, jesteś... niegodziwy!

— Jestem tylko doktorem.

Niegodziwiec się zrobił z kochanego, złotego doktora... mimo to upór niewieści przelamany nie został; coś się na kaszelek i na kataręk dało, i ani jeden bilet na Bal literacki niesprzedany nie został.

Przepysznie wyglądała wielka sala Filharmonii, miejsca wszystkie na balkonie i galerii zajęte, trzysta par posunęło się w kadrylu, wionęło w mazurze, żaden nasek nie kichnął, a choć tu i tam slychać było kaszelek lekki, stawał się on jeno przedmiotem rozmo-

wy bardzo interesującej i zmuszał tancerza do pieczołowitego zajęcia się tancerką.

Bal się więc udał i nie wątpięm na chwilę, ażeby być mogło inaczej.

Za dni kilka dopiero dowiemy się, jaki był ostateczny rezultat zabawy, bo bądź co bądź, koszta wynosiły do 1,500 rubli, choć bardzo wiele sklepów przybyło z bezinteresowną pomocą. I oto — sala kameralna zamieniona została w jakiś istic czarodziejski ogród.

Przepyszne, puszyste dywany, z umeblowaniem do ich barw zastosowaniem zaścielały posadzki; piękne krzewy w wazonach oddzielały każdy taki zakątek tajemniczy, w którym można było przed ciżbą się ukryć i interesującą rozmowę o kaszelku prowadzić. Z pośród zieleni wzywały różnobarwne kwiaty elektryczne, pomiędzy którymi stała urna, do której pleć niewieścia miała składać kartki z nazwiskiem wybranego autora z „Jednodniówki.“ Nie mniej uroczo wyglądał i buduar, przeznaczony do poprawiania strojów kobiecych, — a wszystkie te kwiaty, kobierce, sprzęty, były ofiarowane bezinteresownie przez panów kupców.

Największą przynętą zabawy był ów konkurs poetów, owa przeslicznie wydana „Jednodniówka,“ której egzemplarz wręczano każdej niewieście do sali wchodzącej; nie mniej zaciekawiały karnety z aforyzmami najwybitniejszych sił literatury naszej. I dziwny to był bal: połączenie tańców — z lekturą. Każda z pań musiała odczytać dość spory zeszyt „Jednodniówki“ i wybrać z masy wierszy

wiersz jeden, który najbardziej do smaku jej przypadł. W krótkich więc przerwach pomiędzy tańcem a tańcem, piękne oczy pochylały się nad welinowymi kartami tajemniczej książki i cała sala zamieniała się na chwilę w *salon de lecture*. Z każdą chwilą urna napełniała się, aż się napełniła po brzegi i—tryumfatorem został Or—Ot, za wiersz napisany „Po za konkursem.“ I słusznie, zupełnie słusznie, bo okrom śpiewności wiersza, ogromny smutek i melancholia wiały z poezji autora „Starego Miasta,“—bo śpiewał o tej, która nie była na balu, nie dzieliła radości, nie zaznała uciechy... Żaden jeszcze konkurs tak sprawiedliwy w wyroku swoim nie był—i tak dobrze nie powiedział o sercu niewieściem. Nie przemówiły do nich grzeczności pod stopy im rzucane, licznym komplementów zdawkowych, ładne *nic*—ale tęsknota poety za widmem nieuchwytnym, za najsmutniejszą z kochanek, która w oddaleniu gdzieś, samotna, czeka chwili odkłęcia swojego. Posłuchajcie, jak brzmi ten wierszyk „Po za konkursem:“

Zrzekam się kwiatów, chociaż wierszyk rzuce,
Uwieńczone innych: nie będę miał żalu;
Dla jednej tylko swe piosenki nuce,
A tej jedynej... niema na tym balu.

Po ścieżkach życia ona cicho kroczy,
Długa i ciężka odbywając drogę
I widzę wszędzie jej przesmutne oczy,
I żadnej innej śpiewać już nie mogę.

Ona jest z baśni uśpioną królewną,
Nawpół nie z tego, nawpół z tego świata;
Kwiatów mi nie da, ale wiem na pewno,
Że płacz mój cichy do jej stóp dolata.

Szarym wieczorem z nią rozmawiam skrycie,
Chwila odkłęcia we snach mi się marzy—
I dalbym pieśń swą—i szczęście—i życie,
By jeden promień ujrzeć na jej twarzy.

I cóż dziwnego, że uwieńczono poetę?

Nie będę szczegółowo opisywał balu, który obecnością swoją zaszczycił Sienkiewicz, na który, śmiało można powiedzieć, zebrała się *tout Varsovie*, bo i rody arystokracji naszej bardzo licznie reprezentowane były. Wiem, że zabawa jak najlepsze po sobie pozostawiła wrażenie, że pierwszy ten bal Kasy literackiej będzie miał już i nadal zapewnione powodzenie, że było huczno, strojno, wesoło i swojsko. Jednakże, ponieważ doskonałości na świecie niema, bezstronność wyznać każe, że były na nim pewne dotkliwie braki i—że zdarzył się mały wypadek, niezbyt dobrze o kulturalności naszej mówiący. Wspomnijmy naprzód o pierwszym:

Sala Filharmonii jest doskonałą do zabaw tego rodzaju, ale brak odpowiedniego stołowego pokoju nieporozumień różnych i niechęci był przyczyną. Ogółem osób było najmniej 1,000; sale zaś jadalne, właściwie kawiarnia Filharmonii na restaurację przerobiona,—mogły co najwyżej 200 osób pomieścić. Większość osób miała kupony na wieczór, ale z powodu ciasnoty lokalu użytkować ich nie mogła. Ztąd było trochę niezadowolenia i sarkania, tem bardziej, że niektóre kółka znajomych, zasiadłszy raz do stołu, nie opuszczały go wcale i po spożyciu wieczery, bawiąc się wesołą przy kieliszku pogawędką. I oto, z powodu braku stosownego lokalu restauracyjnego, duże zbiorowisko osób narażo-

ne jest na głód niemiły, a panowie gospodarze muszą słuchać skarg niezadowolonych. Teraz przechodzimy do innego przedmiotu.

Podczas mazura, miały na salę wjechać sanie, napełnione kwiatami, ciągnione przez dwie dziewczynki w strojach paziów. Według programu, mężczyźni, trzymając się za ręce, mieli uformować wielkie koło, sanie zaś miały objechać do koła salę balową, każdy z tancerzy, koło którego przesuwały się, miał prawo wziąć bukiet, by go następnie tancerce swojej ofiarować. Piękne sanie, piękni paziowie, bogactwo kwiatów, cały słowem przemarsz małego a ładnego orszaku stanowić miał miłą rozrywkę dla oka, szczególnie dla tych, którzy zajmowali balkony i galerie.

I cóż?

A oto jak szydło z worka barbarzyństwo tłumów wylazło. Zaledwo sanie na sali pokazały się, wnet panowie tancerze, jakby się lekając, by im kwiatów nie zbrakło, przewalili koło, rzucili się tłumnie na sanie, wyrwijac sobie nawzajem bukiety. Powstał tłok, ścis; paziowie kroku już naprzód zrobić nie mogli, cała efektowna scenka przejazdu przepadła— a ja... zarumieniłem się trochę, i nie wiem dla czego na myśl mi przyszła stara, zapomniana ale dobra książeczka p. t. „Wiązanie Helenki.“

Karnawał, jak przewidywaliśmy, pod sam koniec niezmiernie się ożywił. O balach tylko mówią, na bal się wybierają, tak, że wszystko inne znikło z porządku dziennego. Tymczasem na łamach „Gazety Polskiej“ rozegrała się walna batalja pomiędzy p. Ochorowiczem a redaktorem Gazety, jako też pp. Smolką i Koskowskim. Ochorowicz „uczciwymi Niemcami“ nazwał tylko Hakatystów; oczywiście tę uczciwość potrzeba brać ze strony satyrycznej—ale mówiąc o Hakatystach, Ochorowicz uczciwość ich w tem widzi, że nie oszukują, nie łudzą, nie obalamują nikogo, a choć najohydniejsze wypowiadają przekonania, wypowiadają je szczerze, bez obłudy i w ten sposób mówią wprost do nas: „Nie łudźcie się! nie spodziewajcie się, prócz zagłady, niczego od nas. Wy albo my—oto ostatnie nasze słowo, rzucone jawnie w obliczu świata, bez żadnych osłonek, bez żadnej perfidy, bez żadnej możności złagodzenia go kiedykolwiek. I w tej jawności Ochorowicz widzi uczciwość— „bo daje ona nam możność wyjścia z zaczarowanego koła niepewności, oczekiwań, złudzeń.“ Krótko mówiąc, Ochorowicz w Niemcach dzisiejszych, czy tych, którzy mieszkają nad Sprewą czy nad Renem—widzi nieodrodną potomków owych dawnych barbarzyńców Germańskich, którzy z rozkoszą pijali wino z śmiertelnych czaszek wrogów swoich. Ale przecie zmieniają się czasy i ludzie, prawo ewolucji nie zna wyjątków, mieliby Niemcy temu ogólnemu nie podlegać prawu?.. Zmienili się—odpowiada Ochorowicz—z ludożerców, stali się—narodożercami!..

Z powodu kwestyi tak na ostrzu noża postawionej, wystapiono ze wszech stron przeciwko szanownemu profesorowi. Oczywiście, że nie mógł i Prus zamilczeć, ten Prus, który jest uosobieniem miłości, przebaczenia i miłosierdzia. Przez Prusa mówiła najwyższa etyka świata, przez Smolkę i innych przemawiał zmysł polityczny. Przy kim prawda, za trudno byłoby osądzić, gdyby człek własnego sądu chciał się

pozbyć. Każdy z twierdzących ma sporą jej dozę; przeciwko faktom są fakta, świadectwa zaś wzięte z historii, w kalejdoskop barw się zmienia, bo każdy ze swego stanowiska na nie patrzeć będzie, w oświetleniu innym postawi i będzie sądził tak, jak *widzi*, nie jak *jest* może w rzeczywistości. Co się nas tyczy, to wolimy pozbyć się wszelkich złudzeń, dobry pieniądz wziąć nawet czasami za fałszywą monetę—bo to pozwoli nam trzeźwiej w dzień jutrzejszy patrzeć, na samych siebie tylko liczyć, zmęźnić, zmadrzeć i przyjść do zupełnej równowagi moralnej, i w wielu wypadkach, nie z narodowej dumy i godności nie stracić. Jeżeli sądzono zginąć, to lepiej w walce, niż w bezmyślnym schlebaniu tym, którzy nas znać nie chcą; „naiwność“ nasza, jak mówi Ochorowicz—może osłabić w nas chęci do walki dalszej na polu handlowem, o czem tak szeroko rozprawiano, i tak gorąco wzięto się do dzieła. Jeżeli miałoby tak być, to lepiej byłoby nie rzucać rękawicy nieprzyjacielowi, bo jużby nie śmieszność, ale pogarda odpowiedzią była. Wtedy doznalibyśmy niepowetowanej klęski. Wolę więc po stronie Ochorowicza stanąć—i raz powiedziawszy sobie: niemasz przyjaźni między nami—z ogromnym spokojem wszelkie następstwa tego powiedzenia przyjąć.

Przed kilku dniami otrzymaliśmy bardzo ciekawy referat, właściwie „Kilka uwag o działalności warszawskiego Towarzystwa pomocy lekarskiej i opieki nad nerwowymi i umysłowo chorymi za rok 1901.“

Rok i dwa miesiące minęło, odkąd Towarzystwo zaczęło swoje czynności. Głównem zadaniem Towarzystwa jest nie tylko nieść pomoc tym nieszczęśliwym, lecz założenie dla nich odpowiedniego schroniska, w którym na razie choć 20 chorych utrzymanie i opiekę miećby mogło. Towarzystwo główną uwagę zwraca na obłąkanych, „którzy obecnie włóczą się po ulicach, przejmują strachem najbliższe otoczenie i przyczyniają społeczeństwu wielkich materyalnych strat.“ Dziś jeszcze działalność Towarzystwa ograniczać się musi, ale przy rozwoju, przy szerokim poparciu tej instytucji przez społeczeństwo—ureczywistnią się dalsze projekty, pomiędzy którymi naczelnym miejscem znajdzie projekt dra Bregmana, a chętnie przyjęty przez Zarząd, założenia sanatorium dla biednych nerwowych i stworzenia kolonii dla epileptyków.

W okresie sprawozdawczym Towarzystwo liczy członków ogółem—260. Od powiększenia się ich liczby zależy dalszy rozwój Towarzystwa. Sądzimy, że społeczeństwo zrozumie doniosłość założonej tak niedawno, a czynnej już instytucji i ofiarami, jako też przystąpieniem do Towarzystwa, do jej rozwoju przyczynić się zechce. Rok 1901-szy pod względem materyalnym był dobry. Dochód Towarzystwa przedstawiał się—4,145 rubli 30 kop. Wydatki wyniosły: 4,025 rubli 68 kop. Osiągniętą więc została przewyżka dochodów nad wydatkami 119 rubli 62 kop. Natomiast na rok bieżący dochód przewidywany jest 11,672 rubli 17 kop., wydatki zaś 13,676 rubli, co uczyni deficytu 2,003 rub. 83 kop. Zwracamy więc na to uwagę tych, których niedola bliźnich obchodzi.

W r. b. otwartą będzie we Lwowie „Wystawa Jubileuszowa Towarzystwa politechni-

cznego we Lwowie.“ Cel jej piękny. Nie tylko zagranica, ale my sami nie wiemy, jakie miejsce zajmujemy w dziedzinie ogólnoludzkich wynalazków. Czas wielki zdać sobie z tego sprawę. „Wystawa Jubileuszowa 25-lecia politechniki lwowskiej“ zadosyć tej potrzebie czyni. Niech więc panowie wynalazcy ze wszystkich ziem polskich pośpieszą do Lwiego grodu. Deklaracye składać należy w dwóch egzemplarzach bezpośrednio do Komitetu Wystawy jubileuszowej Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie, ulica Chorażczyzna l. 17, najdalej do 15-go marca r. b.

Przyjmowanie przedmiotów na wystawę przeznaczonych odbywać się będzie od 20-go kwietnia do 10-go maja; otwarcie wystawy 17-go maja, zamknięcie 30-go czerwca r. b.

Dalej więc, panowie! jeżeli nie przed światem, to przed samymi sobą pochwalmy się z pomysowości naszej.

Kazimierz Gliński.



Z ZAGADNIENI CHWILI.



....Dziwne to oddziaływanie powieści, poezji, dramatu na życie powszednie; życia powszedniego na powieść, dramat, poezję, sztukę w ogóle....

Gdy w społeczeństwie panował kult kobiety, jako ogniska uszlachetniającego życie, wnoszącego w tle najpiękniejsze, najidealniejsze pierwiastki, wówczas poezja stała pod znakiem bezwzględnej apoteozy *des Ewig-Weiblichen* i niema takich barw i kolorów na niebie i na ziemi, w któreby romantyzm nie przybrał kobiety, czyniąc z jej wpływu zasadniczą sprężynę wszelkiego działania, soczewkę, w której się koncentrują najjaśniejsze i najsilniejsze promienie myśli i uczucia.

Reakcja nastąpić musiała. Gdy nauka stała pod znakiem materjalizmu, wówczas w życiu ekonomicznym zapanował kapitalizm, w polityce przewaga siły przed prawem, w etyce i życiu powszednim utylitaryzm i kult złotego cielca, a w sztuce naturalizm, nie pozwalający poezji — by użyć Horacyuszowego wyrażenia — latać, jak łabędź pod niebem. To też poczęła ona grzęznąć w błocie i w brudzie.

La bête humaine stała się przedmiotem sztuki, — mężczyzna samiec i kobieta-samica. Rozwinęła się monstrualna propaganda negacji najczystszych uczuć, propaganda zwierzęcości wiary w to, co jest zmysłowo uchwytnie, odzwierciedlenia w sztuce tego tylko, co jest przejawem najniższych motywów, tego, co musi być zwalczane — *was überwunden werden muss*, jak powiada Nietzsche, — jeśli człowiek ma się wznosić wyżej i wyżej. Eliminowano z pojęcia miłości wszelki pierwiastek nadzmysłowy, słaby, widząc w niej tylko objaw nieprzeparowanej siły zwierzęcego instynktu, niezbędnej ku podtrzymaniu gatunku.

I ten pogląd zasadniczy, panujący w całej sztuce owych czasów przeszedł w społeczeństwo, przesiąkając z góry w dół, stał się wyznaniem wiary stanów, przeniknął całą tę burżuazyjną cywilizację, wprowadzającą w czyn

teorię walki o byt, kultu złotego cielca, wielbiącą „zdrowy rozsądek“ i nieprzystępną wszelkim lotniejszym porywom i aspiracyom.

Zdetrionizowano kobiety; hasłu weimarskiego mędrca: *das Ewig-Weibliche zieht uns hinan* przeciwstawiono jego parafrazę: *das Ewig-Weibliche zieht uns hinab*. Zaprzeczono kobiecie dodatniego wpływu na ród męzki, obniżono jej stanowisko i znaczenie społeczne. Propagowano pozornie emancypacyjne dążenia, *de facto* czyniąc z kobiety — zwierzę niższego gatunku.

Zamiast spodziewanego szczęścia, okres hegemonu materjalizmu zrodził *taedium vitae*, rozkładowy pesymizm, wielką newrozę chwili, karierowiczowstwo i gonitwy za życiem i t. d. i t. d. W sztuce reakcja przeciw naturalizmowi zrodziła modernistyczny kierunek, w życiu społecznym wzmogła emancypacyjne dążenia, zrodziła feminizm bezwzględny i fanatyczny.

W sztuce pojawia się i wzmaga propaganda żywiolowej nienawiści, odwiecznego przeciwieństwa obu pierwiastków, męzkiego i żeńskiego; — poczyną się odtwarzanie Gehenny płciowej erotomanów, apoteoza negatywna kobiety, jako demona destrukcji, przyczyny wszechzłego, anioła śmierci, niosącego szal i zniszczenie, miążdzącego szczęście ludzkie, spełniającego swe fatalne przeznaczenie z objętnością ślepego żywiolu.

Z drugiej strony w sztuce pozostaje typ kobiety, dla której ziemską, zmysłową miłość nie istnieje wcale, skupiającej całą moc swego serca i swej duszy w idei odrodzenia ludzkości, a w szczególności idei podniesienia stanowiska kobiety w społeczeństwie. Juljusz Germinala daje np. w powieści *A bruler* typ takiej kobiety; bohaterka jej Sita, adeptka budaizmu, imienniczka bohaterki *Ramajany*, duchowa siostra Sakuntali, Damajanti i Sawitri głosi hasło zaparcia się swych uczuć indywidualnych, na rzecz pragnień i dążeń, mających na celu dobro ogólne.

Oddziaływanie obu kierunków modernistycznej sztuki przejawia się już w życiu. Kobieta, której ogólna kultura dziś stanowczo zaczyna przewyższać ogólną kulturę mężczyzn, wyznaje coraz otwarciiej zasady wyższości ponad mężczyzną, którego zaczyna lekceważyć, przejmuje się tą zasadą i wierzy w nią, podejmuje walkę we wszystkich dziedzinach. Chaos zwiększa się. Mężczyzna przejęty znów hasłem pogardy dla kobiecego pierwiastku w życiu, sceptycyzmem, pesymizmem i utylitaryzmem, widzi w kobiecie nowego wroga w walce o byt, instynktownie odczuwa wyższość kulturalnego poziomu kobiety nad swoim, kobiety, która na ogół biorąc, więcej od niego czyta, myśli i pracuje nad sobą.

Kędy wyjście z tego problemu?

Przyszłości odgadnąć nie sposób. Kwestya kobieca dziś jest w stadium wrzenia i chaosu. O tem później i szerzej.

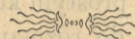
Bądź co bądź, „kwestya kobieca“ łatwiejszą jest do rozwiązania niż „kwestya męzka“, kwestya usunięcia z dusz i umysłów męzkich plebejskiego, materjalistycznego, filisterskiego poglądu na świat, tego utylitaryzmu, tej płytkości i ciemnoty umysłowej, jaka panuje wśród wyższej pseudo-inteligencji, tego zasklepienia się w ciasnym kółku powszednich, codziennych, marnych pragnień i dążeń.

Dla kobiet, jako zapowiedź przyszłości, jako wzór do naśladowania pojawia się w sztuce, a nawet już i w życiu typ kobiety umysłowo dojrzalej, o rozwiniętej inteligencji, a niezatrąconej sile uczucia, obejmujący myślą szerokie horyzonty. Takim typem jest przesłiczna postać Joanny w „Ludziach bezdomnych“ Żeromskiego, obok której stoi jakby zarodek męzkiego typu przyszłości, doktor Judym w tej samej powieści, albo Dołęga Weyssenhofa. Taka kobieta, obok *takiego* mężczyzny może stać się — jak marzył Słowacki:

Silą, mocą,
Zaczną bronią w rękę i kolczugą
Sercu i słońcem, które świeci nocą
I panią razem, i razem być sługą,
I nawet w świecie aniołów — pomocą.

Ona może „świat dać, za świat stanąć i wystarczyć.“

Adolf Strzelecki.



Julia Terpiłowska.



PRYZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Na zielonej łące, pomiędzy cieniem olszyny a smugą pszenicy, wśród słonecznego blasku i świeżych powiewów, inaczej się rozmawia, niż za spuszczone roletami na białozłotej kanapie, wsuniętej pod filodendrony. Otoczenie rzeczy naturalnych i niewymuszonych mimowiednie usposabia do zwrotu ku pierwotnym nastrojom duszy. Dość oprzeć się bezpośrednio o nagą pierś przyrody, aby odzyskać choć jakąś cząstkę tej prostoty, z jaką się niegdyś opierało dziecienną głowę o łono karmicielki, a człowiek wprost do ziemi przytulony czuje się innym, niż wtedy, gdy go z nią rozdziela dywan lub posadzka. Z ziemiśmy wzięci — i gdy nazbyt odbiegniemy od macierzy, jesteśmy jak owe dzieci, sztuczną mamką karmione, które się źle chowają.

— I nigdy się pani ten tryb życia nie przykrzy? — pytała Mewa Malwy, stawiając jej to swobodnie pytanie, któreby w swoim chińskim saloniku uważała za zbyt niedyskretne.

— Latem — nigdy — odpowiedziała Malwa. — Nie znam pracy bardziej urozmaiconej i higienicznej, jak zajęcie w polu i w ogrodzie; nie znam większego komfortu, jak obfitość powietrza i słońca; nie znam też piękniejszego mieszkania, jak to...

Powiodła ręką dokoła.

— A zimą?

— Zimą trochę ciasno w izbie; ale nie bywa też zbyt przestronno na ulicach miejskich, albo w teatrze, albo w recepcyjnych salonach.

— Ależ rozrywki żadnej! nawet tych sielskich rozkoszy niema!

— Zapewne; ale i karnawał nie trwa rok okrągły.

— A brak towarzystwa? — wtrącił Wielolecki.

— Mamy księdza kanonika i Klare; u nich

na plebanii widzimy kilka sympatycznych osób; zresztą pozwalamy sobie na pisma i książki, co po części towarzyskie przyjemności zastępuje.

— Pozwoli mi pani być zupełnie otwartym? — rzekł Wielołęcki.

— Jak z chłopką, łaskawy panie! — odparła, śmiejąc się.

— Otóż znajduję, że mogłaby pani ograniczyć się na przedmiotach zbytku, jak pisma i książki, aby mieć na rzeczy niezbędne.

— Naprzykład jakie?

— Naprzykład jakiś tani ale gustowny kretonik, eleganckim fasonem skrojony...

— A to po co? czyż nie jestem gustownie ubrana? Pan się śmieje, a przecież strój ludowy nie jest brzydszym od wielu charakterystycznych kostyumów, którym pan z pewnością nie zaprzeczy gustu. Zresztą, mój ubiór jest odpowiednim do moich zajęć, a pan, naturalnie, nie odmawia racyi bytu tym również wygodnym i prostym kostyumom, jakich się obecnie używa do rozmaitych sportów?

— Tym argumentem nie przekona pani mego wuja — odezwał się Zygmunt, — bo co wypada temu, kto chce się bawić sportem, nie wypada temu, kto chce pracować przy roli.

Mówił tonem żartobliwym, ale Malwa spojrziała na niego uważnie i badawczo, jakby go po raz pierwszy zobaczyła.

Wielołęcki zwrócił się do Jura:

— A pan, — Paryżanin, bulwarowiec, jakże się z takim życiem zgadza?

— Nie wiem, jakby się z niem zgodził Paryżanin — odparł Jur. — Ja jestem tutejszy — a my tu przecież gospodarskie dzieci, potomkowie tylu pokoleń rolników. Atawizm ułatwia powrót do prototypu.

— Zapewne, zapewne... Ale teraz ciężkie czasy, gospodarskie dzieci coraz mniej mają na czem gospodarować; właściciele ziemskich ciągle ubywa.

— A jednak mogłoby ich przybywać.

— Jakim sposobem?

— Takim samym, w jaki nam ciągle przybywa niemieckich kolonistów. Ale synowi zrujnowanego obywatela, który pleśnieje w biurze, albo przy fabryce, prędzej przyjdzie na myśl założyć fermę w Ameryce, albo w Australii, niż nabyć lub wydzierżawić kawałek ziemi we własnym kraju, i żyć na nim, jak amerykański farmer albo niemiecki kolonista.

— Ależ taki kolonista jada kartofle pieczone, a jego żona w ogrodzie kopie!

— A tak! my musimy koniecznie jeść pieczone gołąbki, a nasze żony nie mogą wyjść do ogrodu bez rękawiczek!

— Ależ ludzie naszej sfery nie mogą żyć grubem życiem chłopca! Chyba — zająknął się — w pojedynczym wypadku jakiejś ekscentrycznej fantazyi...

— To znaczy, że zrujnowany szlachcic może żyć w miejskiej dziurze, bez powietrza, bez słońca, a czasem bez chleba, może zapracowywać się automatycznie, aby zarobić na rękawiczki i kołnierzyk papierowy, ale nie może jeść barszczu i kaszy, nosić domowego płótna i grabić pachnącego siana na zielonej łące?

— A przytem ma przesadzone pojęcie o twardem chłopskim życiu — wtrąciła Malwa. — Zamożny gospodarz wiejski i u nas

nędznie nie żyje; a gdyby umiał się urządzać, jak taki sam drobny właściciel za granicą, miałby tak samo nietylko na rzeczywiste potrzeby, ale nawet na przyjemności umysłowe.

— Przyjemności umysłowe — to droga rzecz! Czyż można tanim kosztem mieć np. bibliotekę, albo bywać w teatrze? — protestował Wielołęcki.

— Znam z tamtej strony Bugu — rzekł Jur, — dużą osadę niemiecką, gdzie koloniści mają wspólną czytelnię, kilka pism peryodycznych, stowarzyszenie muzyczne i stały teatr amatorski, a każdy z nich posiada tylko grunt z chatą, jak chłop obrywiński — i obrabia go własnoręcznie.

— To tylko Niemiec potrafi!

— Prawda... u nas teraz kto choćby kilka klas przeszedł, już woli być kancelistą lub komisantem, niż zagrodnikiem albo czynszownikiem.

— Tak! — wtrącił Zygmunt. — W najlepszym razie bierze się do rzemiosła, a ziemię zostawia chłopom lub przybyszom, bo woli nie mieć jej wcale, niż mieć jej zamało na szlacheckie fanaberye.

— Mój drogi — rzekł Wielołęcki, — ty przecież znasz warunki miejscowe, a zapominasz, że u nas nie jest nigdy i nigdzie przyjętem, aby szlachcic żył po chłopsku. Państwo — zwrócił się do Kalinieckich, — oswoiście się w Paryżu z pomysłami *fin de siècle*; ale i tam długo nie potrwa moda przerzucania się od wyrafinowania do prymitywizmu; a do nas ta moda nie dojdzie wcale, bo u nas burżuazya ton nadaje, a szlachcic pamięta, że *noblesse oblige!*

— Do czego? — zapytał Zygmunt. — Do rolniczej produktywności przodków, czy do ich życia nad stan?

— Do życia nad stan! — odezwała się Klara, rozgarniając zasuwaną ją siano.

— Klara odnalazła się! — zawołała Mewa. — Posadzałam cię, że śniesz jakiś sen złoty pod tą falą polnego kwiecica, a ty się przysłuchujesz ekonomicznej rozprawie.

— Alboż to nie sen złoty — odpowiedziała Klara, — życie zespolone z ziemią, z naturą, pracowite a niezależne? Chciałam panu opowiedzieć — rzekła do Zygmunta, — o pocziwym panu Ambrozym, tym, co ma czwartą część Mysiej Wólki. Kiedy mu się dom spalił, a podczas pożaru stajnię okradziono, żalił się memu stryjowi, że go żydzi z torbami puszcza, tak się będzie musiał zadłużyć. Stryj mu zaczął doradzać, aby zbudował mały dwork, a sprzęty i wózek kazał zrobić u nabrzeżańskich majstrów. Trzeba było widzieć, jak się pan Ambroży zaperzył! „Kanonik chcesz, żeby moja żona sadzała gości na ławach, a córki moje żeby do miasta taradajką jeździły! Brakowałoby tylko włożyć siermięgi i pójść do roboty w pole!“ No, i naturalnie zapożyczył się u Berka Rajgrodzkiego, — bo *noblesse oblige!*

Mewa roześmiała się.

— Zdaje mi się — rzekła, — że panny Ambrożówny awantazowniejby wyglądały w grzędach, niż przy klawicybale. Ale dla pani — zwróciła się do Malwy, — musiało być bardzo ciężko przyzwyczajając się do tych prostych robót?

— Z początku tylko — odpowiedziała Mal-

wa; — teraz już przywykłam. A przytem nie jest to tak ciężka praca, jak się z pozoru wydaje, i zostawia w ciągu roku dosyć czasu na wypoczynek.

— Co też pani mówi! — zawołał Wielołęcki. — Chłop okragły rok pracuje!

— To jest prawo powszechnie — odrzekła z uśmiechem, — że każdy, kto okragły rok je, powinien też okragły rok po swojemu pracować. Więc też i w tym czasie są zajęcia, ale lżejsze i mniej pilne. Właściwy czas roboczy — to żniwo, orka, siejba; i wtedy jednak nie przeciążamy się pracą, bo jak każdy najmniejszy gospodarz wiejski mamy najemników. Przy domowej robocie także wiele pomaga Jurowi Marcin, a mnie Marcinowa.

— Ten Marcin z Marcinową, to zapewne dawni słudzy państwa? — zapytał Wielołęcki.

— Marcinowa była moją niańką, a Marcin gumienym u naszego ojca. Mamy w nich zarazem wiernych przyjaciół i pomoc nieocenioną...

— Którą nie każdy mieć może. Cóżby począł taki szlachcic-kolonista bez Marcina i Marcinowej?

— Każdy porządny zagrodnik ma najemnika i najemnicę, do pomocy przy domowej robocie.

— Cóż to jest właściwie ta domowa robota? — zapytała Mewa.

— To jest, dla kobiet, przyrządzanie strawy, dogładanie zwierząt domowych, utrzymywanie porządku; a dla mężczyzn — naprawianie narzędzi, młócenie zboża, rąbanie drewek.

— Okropność! — zawołała Mewa.

— Angielscy parowie rąbią drewna dla gimnastyki — i panią to nie przeraża? — wtrącił Jur. — Pruscy junkrzy z bogatych rodzin pełnią proste funkcyje żołnierskie — i panią to nie dziwi?

Patrzył na nią trochę ironicznie, więc odpowiedziała mu wyzywającym spojrzeniem, i odparła żywo:

— Nie dziwią mię ani magnackie fantazyje, ani rycerskie ćwiczenia. Dziwi mię tylke zamilowanie zajęć pospolitych u ludzi, którzy mogliby... No! mogliby naprzykład lecieć balonem do bieguna, albo badać Afrykę środkową.

Zamilkła, i czekała na odpowiedź, rada zabawić się w szermierkę na słowa; ale Jur widocznie nie miał do tego ochoty, bo powiedział nie do niej, tylko do Klary:

— Dla nas wystarcza badanie Obrywina, prawda?

Malwa tymczasem rozmawiała z Zygmuntem.

— Rzemiosło także — mówiła, — przynosi pewną pomoc. Snycerstwo mego brata i moje hafty są dla nas nie tylko miłą rozrywką, ale także pracą produkcyjną. I nie my sami wpadliśmy na ten pomysł, są przecież na świecie całe wsie razem rolnicze i rękodzielnicze.

— A na muzykę, na czytanie, państwo jednakże za mało macie czasu? — pytał Zygmunt.

— Ach, czas jest taki rozciągliwy, jeśli się go ureguluje systematycznym zajęciem! Na przyjemności umysłowe znajdujemy zawsze godzinę dziennie, a przytem mamy niedziele i święta.

— I naprawdę pani to wystarcza? — zapytał Wielołęcki.

— Wszystko wystarcza, gdy wystarczać musi,— odpowiedziała.

— Jednakże i przykrzeć się musi.

— W chwilach, w których się trochę przykrzy, porównuję siebie w myśli do jakiej istoty także pracującej, odzianej w ów gustowny kretonik elegancko skrojony, naprzykład do miejskiej szwaczki. I wtedy bardzo się dziwię, że taka dziewczyna, monotonnie ślęcząca nad maszyną, która ją przykuwa, oglupia, źle karmi, niedostatecznie odziewa, nie wpadnie na pomysł razem ze swym kancelistą, który w taki sam sposób zużywa się w swoim deptaku, aby pobrawszy się, uciec z więzienia na swobodę—i pracować wspólnie na wydzierżawionym za drobne oszczędności futorku, zamiast w dalszym ciągu biegać jedno do magazynu, drugie do biura.

— Sami oni nigdy nie wpadną na taki pomysł — rzekł Jur; — trzebaby go im poddać i ułatwić wykonanie.

— Państwo uwzieliście się, aby wyludnić miasta! — zawołał Wielolecki.

— Nie,— odparł Jur.— W miastach jeszcze zostałyby więcej pracowników, niż pracy, gdyby nawet miastom odebrać pochłanianych przez nie zubożałych wieśniaków. Nie wiele czasu minęło, odkąd zaczęto u nas nawoływać do prac fabrycznych i handlowych, odciągając od roli, którą jakoby za wiele gąb ssało — i już skutek przeszedł oczekiwania. Dziś uboższy ziemianin stara się dać jakiś fach każdemu ze swoich synów, przy roli zostają same wybiórki — i opuszczona ziemia z rąk się nam coraz bardziej wymyka, przechodząc w ręce intruzów. Zbyt gorliwie dzwoniono na to — i poraby już zacząć oddzwaniać, aby chociaż tę cząstkę sił, która marnieje wśród nadprodukcji pracowników fachowych, zwrócić na nowo do starego zagonu.

— Dobrzeby to było — rzekł Zygmunt; — ale największa trudność w tem, że szlachcie

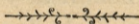
wstydzi się żyć i wyglądać jak chłop. Próżność ludzka jest zawsze najtwardszym orzechem do zgryzienia.

— To też niech taki szlachcie stanie się podobnym chłopu tylko przez pracowitość i prostotę życia, a pozostanie szlachcicem przez przodownictwo moralne i umysłowe wśród ludu wiejskiego. Jego próżność mogłaby tem się zadowolić w sposób szlachetniejszy, niż różnica przyodziewku i pomieszkania. A przytem chłopu naszego, który tak nisko stoi w porównaniu z zachodnio-europejskim, nie podniesiemy rozprawkami i teoryjkami; wpłyniemy na niego wtedy jedynie, gdy stanąwszy z nim miedza o miedzę, będziemy z nim iść ręką w rękę, będziemy z nim żąć i kosić. Aby na niego podziałać, trzeba nie kazania mu prawie z odległości, lecz zespolić swoje życie z jego życiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

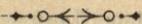


DEOTYMA.



NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM”).



(Ciąg dalszy).

A gdy chciał spocząć, nie mówił: — «Usiędę.»

Lecz biegł na basztę, i strzelał z okienka.

Strzelał tak celnie, że przeszedł w legendę.

Już wtedy o nim krążyła piosenka:

«Idzie Pan Wolny, Strzelec zawołany,

«A gdzie wymierzy, tam lecą turbany.»

— Miał też drużynę. Zuch, zuchów dobiera.

Wszyscy w zielone strojni pióropusze,

Strzelali cudnie, ach, a za Freiherra,

Wszyscy oddali-by duszę.

Skoro wysłuchał Reussowej powieści,

Czterdziestu Strzelcom kazał, dla obrony

Zostać na murze, a drugie czterdzieści,

Porwał za sobą, i szedł ucieszony.

— «A!» — Rzekł Komendant: — «Rzecz taka, Freiherze:

«Po szczytkach schodów można wejść na Wieżę.

«Idź tam, i Turków ostrzeliwaj z flanku.»

— Rzekł, a za chwilę, kiść zielono-pióra,

Z baszty wykwitła u każdego blanku,

Pod każdą, zabłysła rura.

Aż zazdrość wzięła starsze Jenerały.

Bój się rozgrywał w tak ciasnej przestrzeni,

Że głębsze pułki beczynninie czekały.

To wodzów bodło. Zwłaszcza Graf Sereni,

Co miał twarz piękną i postać junacką,

(Czysto-Madziarską.) przymawiał się gracko:

— «Ach! Moi ludzie tu szli, jak na fetę.....

«Czyż już nikomu dziś poły nie urzną?»

Ale się długo przymawiał napróżno.

Komendant wierał w lunetę.

— «Hm.....» — Pomrukiwał. — «Cierpliwy bądź Hrabio.

«Dotąd nas tylko hołota napiéra;

«Szkoda mi na nią twojego rapiéra.

«Lecz niech nam djabli Janczarów przywabią.

«Wtedy się bitwa prawdziwa rozpocznie.

«Na toż ja czekam. Cóż zaszło widocznie.

«Stoją tam. Widzę ich białe czapczyska.

«Lecz iść, nie idą. Co to się tam dzieje?

«O..... wzdłuż biegają te ich kaznodzieje.

«A teraz..... w górze coś błyska.....

«To chyba Wezyr nadjeżdża w tej świcie?»

Znów przestał mówić. Wpatrzył się. Po chwili,

— «Czekać.....» — Zawołał. — «Oho! Już ruszyli!

«Teraz, Panowie, na śmierć i na życie!

«Wy dwaj, Sereni i Daun, we Lwiój Baszcie,

«Na niższych piętrach z ludźmi się ukażcie.

«Wyklutěj ściany dziś nikt nie zalepi,

«Lecz wasze piersi niech staną za ścianę.

«Ja, na wyłomie, gdzie jestem, zostanę.

«Ztąd wszystko widzę najlepšíj.»

Prawda. Miał oko, co wiele odgadło.
Początek szturmów wydawał się słaby,
Gdyż dotąd same szły tylko Azaby,
Niższa piechota, wieczne popychadło
Janczarów, których buntowne kohorty,
Były i siłą, i postrachem Porty.
Janczary nigdy wyruszyć niechciały,
Dopóki Azab nie wystawił głowy
Na pierwszy ogień, i licznymi ciałami,
Nie rzucił mostów na rowy.

Tak. Ale dzisiaj gościniec już gotów?
Na złomach muru już pełno ich leży,
Znacznych czerwonym kolorem odzieży,
A Janczarowie, choć wyszli z namiotów,
Choć stoją w pułkach o jakie dwa staje,
Niechcą iść. Próżno starszyzna im łaje.
W pomoc jej przyszli Derwisze pułkowi;
Proszą, wiévają białymi rękawami,
Nakoniec grożą krnąbrnemu tłumowi,
Acz usta im drżą z obawy.

— «Na cóż czekacie? Czy brak wam odwagi?
«To być nie może! Janczary to chwaty!
«Patrzcie: rów pełen, a Wiedeń bogaty!
«Zdrajca, kto głuchy na głos Janczar-Agi!
«Takaż to wdzięczność za chleb Padyszacha?
«Takaż to dbałość o cześć dla Allaha?»
— Tłum się nie ruszył; stał chmurny i niemy.
Któryś przemówił: — «Wy wiecie Ojcowie,
«Że chcąc, to pójdziem, choćby i na głowie.
«Ale dziś nie,— bo nie chcemy.»

Drgnął Wielki Wezyr, gdy Czausz, (goniec pieszy),
Doniósł, co mówią Janczarskie zuchwalce.
Wezyr zdaleka przyglądał się walce,
Sam ledwo widny dla śmiertelnej rzeszy.
W szatach, o krwawo mieniającej się tkance,
Na wpół ukryty po-za złote lance,
I chwiejnopióre dworzan swych turbany,
Migał na koniu płomienistej maści,
Czarny, przepyszny, i nieubłagany,
Jakby sam Xiążę Przepaści.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Czesław Jankowski.

Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku.

(Ciąg dalszy).

Adolfa nie uszczęśliwia tem; sama zaś spietrza dookoła siebie to, co najbardziej jej dolega: ludzkie szkalowania i lekceważenie. Uczyniła ogromną ofiarę, a on, Adolf, cóż na to? A on pisze w spowiedzi swojej: „Wielkiem jest nieszczęściem nie być kochanym, gdy się kocha; ale wielkiem również jest nieszczęściem być namiętnie kochanym, a nie móżdź kochać samemu.“

Postanawia zerwać z Eleonorą; postanawia ją porzucić, a siebie wyzwolić. I—nie może. „Są stosunki, co stają się częścią naszego istnienia. Postanawiamy je zerwać, a gdy stanowcza nadejdzie chwila, cofamy się przerażeni. Taka to jest już nędza serca ludzkiego, iż ból nam sprawia rozstawanie się z tymi, z którymi obcując, nie zaznaliśmy żadnej przyjemności.“ Tego rodzaju wywodami stara się Adolf usprawiedliwić — słabość własnego charakteru.

Tymczasem wzajemne zatrucie sobie życia trwa w dalszym ciągu. Wreszcie sama Eleonora dochodzi do przekonania, iż zmienić trzeba—warunki, wśród których płynie to fatalne wspólne pożycie. On osiadł w dużym mieście, np. w Paryżu; ona też tam przyjedzie i będzie zdala, w ukryciu, tylko: istnieć w jego pobliżu. Tak się też staje. Ale czuwa ojciec Adolfa, który radby go wyzwolić z pod zależności od związku, tamującego synowi drogę do kariery i stanowiska w świe-

cie. Skoro Adolf przejrzał chęci i zabiegi ojca, spostrzegł, iż—żyć bez Eleonory nie może. Teraz on błaga ją o pozwolenie poświęcenia dla niej życia, o połączenie się z nią na zawsze nierozzerwalnymi więzami.

Ale Eleonora już nie ta, co dawnej. Optimizm jej, zapał, wiara w przyszłość szczęśliwą i w uczucia Adolfa, bez mała, zniknęły. Z przedziwną melancholią dusz, jesienią życia owianych odpowiada mu: „Adolfie, ty sądzisz, że kochasz mnie, a masz tylko dla mnie litość.“

On ma dwadzieścia cztery lata, ona trzydzieści cztery. Przed nim życie i świat, świat, do którego on rwie się; przed nią raz jeszcze do podjęcia walka o uczucie niestałych—jałmużnę! Zamieszkują wszelakoż razem, w małej czeskiej mieścinie. Na sukurs Adolfowi przychodzi właściwość natury ludzkiej, „zdolnej doznać naprawdę uczuć, które się przez czas dłuższy udawało.“ Błady jakiś odblask szczęścia poczyną świtać. Eleonora odrzuca propozycję hr. P., ofiarowującego jej połowę majątku, nie aby znów doń wróciła, ale aby porzuciwszy „niewdzięcznika“, spokojnie mogła żyć—bez niczyjej opieki. Poświęcenie to nowe, wywołuje w Adolfie już teraz pewność, iż rozłączyć się powinien z Eleonorą, nie tylko dla własnego, ale i dla jej dobra. To też oświadcza jej, zdobywszy się na bezwzględność i energię: „Nie kocham cię. Musimy się rozłączyć!“ Pierwszy to raz padają przed nią

słowa te wyraźne i kamienne. „Długą chwilę czekałem na odpowiedź, nie podnosząc oczu. Gdym wreszcie spojrział na Eleonorę, stała wciąż nieruchoma; wzrok jej błędził po otaczających ją przedmiotach, jakby nie dokola siebie nie poznawała. Ująłem jej rękę; chłodną była. Odsunęła mnie od siebie. „Czego chcesz odemnie?—rzekła—co masz mi jeszcze do powiedzenia? Zostaw mnie. Tego przecie sobie tylko życzysz...“ Chciała odejść, zachwiała się, osunęła się do nóg moich zemdlona. Przywiódłem ją do życia, okrywając ręce jej pocałunkami. „Eleonoro! — wołałem — ożyj ty! wróć do mnie! Ja cię kocham...“

Magiczne słowo! Zwrót przedziwnie prawdziwy; podobnie jak prawdziwe niezmiernie bezpośrednio następujące zapewnienie autora, że Eleonora słowom tym — uwierzyła. Tak, uwierzyła w zmartwychwstałą miłość Adolfa; więcej jeszcze—przysięgi jego i wyznania gorące „zdawała się pić, wchłaniać w siebie.“ Tak jej miłość ta była do życia potrzebną, jak — powietrze. Taką dla niej stała się deska ratunkowa—jedyną.

Tymczasem umiera ojciec Eleonory i ją, jedyne dziecko swoje, czyni przed zgonem spadkobierczynią okazałych dóbr ziemskich. Eleonora przyjmuje tę fortunę i to nowo stanowisko społeczne pod warunkiem, że Adolf pojedzie z nią do Polski. Ostatni akt opowieści Constanta rozgrywa się tedy w wielkopań-

skich dobrach Eleonory pod Warszawą. Tam już pozycya Adolfa przy boku bogatej dziedziczki staje się dla niego wprost nie do wytrzymania, staje się tembardziej skandaliczną w oczach ojca Adolfa i przyjaciół jego rodziny. Jeden z nich pisze mu wręcz: „nie pan ją protegujesz teraz, ale ona pana.“ Poślubić ją? Adolf zbyt trzeźwo patrzy na rzeczy, aby nie rozumieć, dokąd zawiedzie takie małżeństwo, chociażby tylko różnicą wieku. Zwalają się na niego, szarpiają go, drażnią, ciążą mu do niewytrzymania wszystkie okoliczności, towarzyszące jego stosunkowi do Eleonory. A ona, w namiętnej swem, gorączkowym, rozpaczem przykuwaniu go do siebie, jeszcze mu te okoliczności czyni nieznośniejszymi, jeszcze goryczy mu dodaje scenami zazdrości i wyrzutów... Dotknięta do żywego jego obojętnością, chce przekonać się, czy jej powab i piękność nie utraciły naprawdę mocy swojej; gromadzi dokoła siebie liczne towarzystwo i zgina do swych stóp najoporniejszych lowelasów; ale tryumfy te chybiają zamierzonego celu,— w Adolfe zazdrości nie budzą. Przeciwnie, dają mu „pretekst“, tak, pretekst do przyspieszenia postanowionej rozłąki.

Myśl, że już niedługo przebywać będzie z Eleonorą, nastroja go rzewnie; pragnie ostatecznie chwile pożycia z nią zaprawić pamiątkową słodyczą. Eleonora bierze ów paroksyzm czułości za budzenie się dawnych uczuć; monotonne, milczące wieczory, spędzane sam na sam, przerywane tylko gwałtownymi burzami, zaczynają dla niej opramieniać się czemś w rodzaju szczęścia. Sam Adolf poddaje się urokowi tej dawno nie odczuwanej atmosfery i — już zaczyna zamiary swoje odsuwać na plan coraz to dalszy. Ale—wysłał list, ostateczną dający decyzję przyjacielowi ojca. List ten wisi nad nim, jak miecz Damoklesa. Musi zerwać—a zdecydować się nie może.

Rozwiązanie przyspiesza wypadek. O postanowieniu, tym razem nieodwołalnym, Adolfa, dowiaduje się Eleonora z listu umyślnie jej nadesłanego przez osoby interesowane w „wyzwoleniu“ Adolfa. Uderza w nią, jak grom. Przebywa gwałtowną gorączkę, aby już potem, zrezygnowana, cicha, przybita, niezdolna do wyciągnięcia nawet ręki po ratunek, słabnąć i gasnąć. Zapewnienie Adolfa, iż nigdy jej nie opuści, nie są już w stanie zasilić wyczerpanego do dna życia; zapóźno. Śmierć, ostatni, dobrotliwym dotknięciem, rozkrusza to zbolełe, niezdolne nawet jęknąć, biedne serce...

— Zabiłem istotę, która mię kochała!—woła Adolf — i rozpacza. Swobodny, bo już niekochany, ani myśli ze swobody tej korzystać. Nie, przetrawia go tęsknota za więzami, które niedawno przeklinał. Ze swobodą tą swoją nie wie teraz co począć, samotny wśród szerokiego świata, z bolącą w duszy pamięcią o „tej uroczej Eleonorze, godnej łagodniejszego losu i wierniejszego serca...“

Smutna powieść. A postać bohaterki, pasującej się z marą niepochwytą, naprawdę tragiczną. A atmosfera życia, w ogóle życia, otaczająca Adolfa i Eleonorę, zaiste nie jak ogni bengalskich ucieszne promieniowanie. Bo też tu rozwinęła się przed nami nie poezya miłości, ale miłości psychologia. Chcą nie-

którzy widzieć w „Adolfie“ protest przeciw gnębieniu i rozrywaniu przez społeczeństwo tak zwanych nieprawych związków. Bezwarunkowo wszelakich do tego dokładają starań przyjaciele ojca Adolfa, i ojciec sam, i potrosze hrabia P. w drugiej fazie usposobienia swego względem Eleonory. Ale akcja ta gra w powieści drugorzędną rolę. Jeszcze to nie powieść pani Sand. Namiętna, czynna, zagarniająca, biorąca w posiadanie miłość Eleonory nie rozbija się o przepisy, prawa, przesady i tradycje—rozbija się ona o usposobienie samego Adolfa, a powiedzmy inaczej o fatalizm, ironię, beznadziejność, marność, istotę wreszcie samego—życia. Życie marnuje, wypacza, łamie. To jego zadanie. Sam Adolf też cierpi; Eleonora cierpi nad tem, że nie jest kochaną; Adolf cierpi, że kochać nie może. Oto życie: ułoży tak wszystko, aby każdemu bez wyjątku żyć było nieznośnie. Nie chłód wieje z powieści Constant'a, ani też reformatorski zapach; wieje z niej głęboka melancholia.

Cały tak zwany ruch kobiecy w dziewiętnastym stuleciu, to nieustanne dobijanie się w życiu społecznym, w literaturze, w sztuce o prawa przyznane rodowi męskiemu przez wielką rewolucję końca osmnastego wieku. Rewolucya dopisała do kodeksu nowy paragraf, opiewający: „Wszyscy Francuzi są równi wobec prawa,“—ale zapomniano o kobietach francuzkich. Te najpierw jeły przypominać, że istnieją, a potem, że na równi z mężczyznami potrafią czuć, cierpieć, pragnąć, walczyć, pracować, i że, co za tem idzie, prawo mieć muszą do stanowisk, stojących otworem przed „panami świata.“ Jedną z wybitnych bohaterek tego pierwszego okresu wielkiej kampanii niewieściej jest Eleonora, jako personifikacya zdolności i roli, które tradycyjnie przyznawano tylko mężczyznom. Eleonora rzuciła przed oczy świata niewieście serce, zdolne kochać z wielką samodzielnością, zdobywać miłość, cierpieć nie biernie, ale wśród walki, bardzo namiętna i nie skrywająca trwożliwie namiętności, podsycane nie bezkrytycznym tylko uwielbieniem, ale i nieprzeciętnymi wcale przymiotami duszy.

Ukazanie się jej zapowiada tylko korowód apostołek reformujących, typów już zreformowanych i tryumfatorek.

Ferdynand Hoesick.

NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ...

VEVEY.

(Ciąg dalszy).

Wypląnawszy z Morges, z kądem już doskonale widać rozłożoną na wzgórzach Lozannę, w kwadrans staje się w Ouchy, które, ciągnąc się nad samem jeziorem, z Lozanną w górze, jest jej portem, przedmieściem, a bodaj czy i nie największą ozdobą. Właściwie jest to jeden wspaniały park z cudowną ale-

ją platanową wzdłuż brzegu jeziora, a w tym olbrzymim parku, pełnym drzew odwiecznych, topoli włoskich, palm, rozległych trawników i klombów, fontann srebrzystych i cienistych szpalerów, stoi mnóstwo hoteli i willi prywatnych, których zewnętrzny przepych odrzuca się domyślać, że są mieszkaniem Krezusów.

Z hoteli najpiękniejszym jest „Hôtel du Chateau“, przerobiony ze starego zamczyska i na zewnątrz całkiem w stylu średniowiecznym utrzymany, podczas gdy wewnątrz jest ostatnim wyrazem nowoczesnego komfortu. Nieopodal stoi „Hôtel d'Angleterre“, znacznie skromniejszy, ale o tyle bardziej ciekawy, że tutaj, w tym hotelu, w r. 1816-ym mieszkali Byron i Shelley, że tutaj w tym dwupiętrowym domu z zielonemi okiennicami rozgrywały się sceny i namiętne duety miłosne romansu Byrona z piękną Jane Clairmont, że tutaj wykończył trzecią pieśń „Childe Harolda“, a napisał „Więźnia Chillonu“ *), że ztąd w gronie serdecznych przyjaciół, robił konne wycieczki do pobliskiego Vevey i Clarens, poczem z doznanych wrażeń spowiadał się wierszem w „Childe-Haroldzie“, a prozą w swym dzienniku, w którym codzień notował główne fakty. Oto np. co tam zapisał pod datą 18-go września (1816): „Wstałem o piątej. Hobhouse wyjechał naprzód. Wsiadłem na konia i puściłem się drogą do Vevey. Tam przepędziłem dwie godziny. Z cmentarza widok cudowny. Na cmentarzu grobowiec Ludlowa, królobójcy. Marmur czarny, napis długi, ale prosty. Przy nim pochowany Broughton, który czytał wyrok śmiertelny Karolowi Stuart. Napis grobowy dziwaczny i pełen przesady. Pokazano nam dom niegdyś Ludlowa. Poszliśmy na przechadzkę ku jezioru. Słudzy, powozy, konie zostały w skutek jakiejś pomyłki i my *plantés là*... Hobhouse poszedł naprzód i sprowadził je. Przybywamy do Clarens, potem do Chillonu, przez okolice i widoki godne nie wiem czego. Spotkaliśmy towarzystwo angielskie. Imość zasnęła w powozie, wśród widoków całkiem antynarkotycznych. *Excellent!*“ Mieszkając w Ouchy, które podówczas było skromną wioską pod Lozanną, a teraz jest szwajcarską Nizzą, siedzibą milionerów i kosmopolitycznej śmietanki towarzyskiej, bywał Byron z natury rzeczy częstym gościem i w Lozannie, która dla Anglików, jako miejsce długoletniego pobytu Gibbona, była już wtedy i jest aż po dziś dzień podobnym miejscem pielgrzymek, jak Ferney dla Francuzów. Gibbon, jak wiadomo—a polscy czytelnicy dowiedzieć się o tem mogą z „Listów z podróży“ Odyńca — mieszkał przez długie lata w Lozannie i tutaj, w ogrodowej altanie swojej prywatnej posesyi (na której miejscu stoi obecnie wspaniały „Hotel Gibbon“), napisał ostatnie słowa swego znakomitego dzieła: „O upadku państwa rzymskiego“, arcydzieła historyografii XVIII-go wieku. Byron w trzeciej pieśni „Childe Harolda“ wspominając o Lozannie—a można być pewnym, że strofy te powstały tutaj w „Hotelu d'Angleterre“—poświęcił wspomnieniu Gibbona osobną strofę, przeciwstawiwszy swego wielkiego ziomeka słynnemu filozofowi z Ferney.

*) Karl Else: «Lord Byron,» str. 213.

O Lozanno! O Ferney! Tu na waszych progach
Dwa imiona imionom waszym sławę daly.
To byli ci śmiertelni, co po strasznych drogach
Szukali i znaleźli wchód do wiecznej chwaly;
Dwa olbrzymie umysły, które, jak Tytany
Do nieba się wdzielali po myślach zwątpienia...

Jeden był niestałością i jak ogniem wrzący,
Dziecię, zmienne w kapryсах, ale rozmaity
W swym dowcipie: poważny, dziki, to szczypiący,
Dziejopis i filozof, i wieszcz znamienity...

Drugi więcej powolny, myśli wyczerpywał,
Ważył mądrość datami pracy nieustrudzonej,
W rozmyślaniu dni pędził, nauki nabywał
I dobył miecz poważnem zdaniem wyostrzony;
W uroczystem szyderstwie wyszukiwał broni
Na wiarę uroczystą. Wielki mistrz ironii
W nieprzyjaciolach swoich obudził złość wściekłą.
Bojaźliwy bigotyzm skazał go na piekło
I tem sądził skutecznie ująć jego pogoni.

Sławna, jako długoletnie miejsce zamieszkania Gibbona, Lozanna, będąca także miejscem urodzenia Benjamina Constant, dla nas Polaków ma szczególny urok, jako miasto, w którym przez dwa lata blisko, od 1839-go do 1840-go mieszkał z rodziną swoją, jako profesor łaciny w miejscowej Akademii, Mickiewicz. Wprawdzie zajęcia profesorskie, tak prozaiczne same przez się, nie bardzo dogadzały nieśmiertelnemu twórcy „Pana Tadeusza,” ale mimo to czas spędzony w Lozannie, nad błękitami Lemanu, który widział z okien swego mieszkania, należał do-względnie najpogodniejszych dni w jego życiu. Kiedy się czyta listy Mickiewicza, pisane z Lozanny do przyjaciół, dochodzi się do przekonania, że gdyby ztąd nie był się przeniósł do Paryża, życie ułożyłoby mu się inaczej zupełnie, aniżeli się ułożyło, i kto wie, czyby się nie ułożyło spokojniej i szczęśliwiej. Bo choć i w Lozannie, z powodu ciężkich obowiązków, jakie nań wkładało „bakałarzenie,” nieraz się czuł przygnębnym i upadłym na duchu — jak o tem świadczą pisane tu jego poezje liryczne — to jednak w ogóle życie tu mu się układało dosyć pomyślnie, i gdyby nie tęsknota za krajem, która go trapiła ciągle, łatwoby się pogodził ze swoją dolą „bakałarza.”

„Mieszkam w pięknym domu (pisał do przyjaciela), salon mam piękny z ogromnymi zwierciadłami i olbrzymimi oknami, z widokiem na ogród. Prawdę mówiąc, to mieszkanie jest pono największą i całą moją przyjemnością. Tęsknota mię nieraz do Litwy ciężka napada i ustawicznie śni się o Nowogródku i o Tuchanowiczach... Okna mam z mego pokoju na jezioro Leman i na Alpy, tylko szkoda, że do jeziora daleko. Wolę ja nasze litewskie krajobrazy, na których zaraz można położyć się i przespać, niż te dalekie blichtry, co oczy tak trują, jak *camera obscura*. Miasto Lozanna zresztą dość nudne. Mieszkańcy przychylni i byłoby tu nam dość dobrze, gdybyśmy przywyknąć mogli do cudzej ziemi! Ale próżno, jesteśmy, jak cyganie, wszędzie gośćmi. Tymczasem kropię tu Szwajcarom z powagą Grodka. Mam sześć godzin na tydzień, pracy dużo, zwłaszcza takiej, od której się odwykło, ale cóż lepszego robić w naszym położeniu?... Wczoraj zwałem z karku trzeci tydzień lekyi i dzisiaj, jak wypuszczony na światło, dyszę. Pracę mam wielką. Dni całe nie wstaję od stołu, a często do godziny 1-ej w nocy rozbieram jaki trudny metr łaciński. O 7-ej muszę być na nogach we dni lekcyj-

ne. Żrę tedy łacinę i pluję francuzczyzną... Zresztą znalazłem tu wielką dla siebie przychylność i rząd dał mi wyższą pensję, nie zważając na inne korzystne warunki zapewnione. Jestem wśród ludzi, którzy mi sprzyjają, i to najwięcej wstrzymuje od nowych przemiesień do Paryża. Będzie mi żal Lozanny. Żona zdrowsza, niż kiedy, dzieci zdrowe. Misia już uczy się czytać i pończochę robi. Władzio już biega, bardzo rozkoszny chłopczyk, mizguś i kochany.”

Lecz wszystko to, razem wzięte, choć składało się na wcale znośną egzystencję, nie dawało prawdziwego szczęścia. Czemu? Bo nie masz szczęścia dla tułacza, dla człowieka, zmuszonego „deptać obcych ludzi łany,” dla Polaka, dla którego piękna Szwajcarya, tak czarująca dla zwykłych podróżnych, miała się stać „nową ojczyzną.” Szczęśliwy ten — powiada Dante — kto nigdy w życiu za obręb graniczny swoich zegarów miejskich nie wychodzi. Otóż Mickiewicz, choć otoczony cudami Lemanu i Alp, zatracił wrażliwość na ich uroki, bo patrząc na nie, widział „w całej ozdobie” melancholijne krajobrazy litewskie, „na których zaraz można położyć się i przespać,” a których piękność dopiero dzisiaj oceniał należycie, gdy je utracił na zawsze. Z tego uczucia nostalgii, uczucia, które w poecie teraz, w czasie pobytu w Lozannie, brało górę nad wszelkimi innymi wrażeniami, zrodził się wiersz, natchniony wiosną i świeżo rozkwitającymi drzewami, wiersz, w którym najlepiej uwydatniły się smutne, minorowe nastroje twórcy „Dziadów,” nie mogącego sobie miejsca znaleźć w „nowej ojczyźnie.”

Te rozkwitłe świeżo drzewa
Upajają słodką wonią;
Wody szepeczą, słowik śpiewa
I koniki cicho dzwonią.

Czemuż zadumany stoje
I wiosną się nie weselę?
Bo sieroce serce moje:
Z kimże wiosnę tę podzielę?

Przed mym domem w pomrok szary
Stają muzyce tułacze:
Słyszę śpiew i dźwięk gitary
Odmykam okno i płacze...

Mija wiosna, mija zima,
Mija pogoda i ślota:
Nie przeminie żal pielgrzyma,
Bo on wdowiec i sierota.

Pod wpływem tego uczucia tęsknoty, uczucia, któremu nie widział końca, próbował czasami twórca „Pana Tadeusza” rozbudzić w sobie uśpioną od lat paru wenę poetycką, próbował pisać, tworzyć.

Czasem piosnkę w myśli składam,
Czasem pióro *smutne* chwycę.

Ale przygnębnym smutkiem, który mu rozsądzał piersi, układał tylko rzeczy drobne, pełne beznadziejnego i rozdzierającego „żału pielgrzyma.” Choć otoczony powszechną czcią i sympatią, choć miał teraz „chleb i spokój” i miejsce stałe, „które sobie sam zdobył własną pracą, bez najmniejszej nieczyjej pomocy, oprócz Bożej,” mimo to wszystko tęsknił za Litwą i Nowogródkiem, za swym dzieciństwem, za swą młodością, za Tuchanowiczami, za Wilnem! Choć zdawać się mogło, że wreszcie po wielu burzach wygnania, po wielu wyczerpujących walkach i wstrzą-

śnieniach Gustawa i Konrada, wpłynął do spokojnej przystani, to jednak epoka obecna, na tle malowniczej Lozanny, wydawała mu się boleśniejszą od poprzednich... Dochodziło do tego, że nie mogąc się pogodzić ze swą obecną dolą, płakał rzewnymi łzami, bo nie widział wyjścia z tego labiryntu, bo nie widział kresu swej tułaczkiej niedoli. W tem uczuciu, pod wpływem takiego chwilowego zwątpienia, napisał, tutaj w Lozannie, jeden ze swych najmowniejszych wierszy, wierszyk, który choć krótki nadzwyczaj, jest jedną z najbardziej rozdzierających skarg, jakie kiedykolwiek skreśliło pióro poety.

Polay się lzy me czyste, rzesiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męzki, wiek kłęski...
Polay się lzy me czyste, rzesiste!

Bo gdziekolwiek wzrok swój obracał, czy to na błękit nieba w górze, czy to na „niezglębione kryształ” jeziora w dole, wszędzie go przesładowała myśl, że tej jego gościnie w „nowej ojczyźnie” może nie być końca. To przeświadczenie sprawiło, że:

bez oddechu w górze, bez ciepła na dole,
Równie czuł się wygnanym... w oboim żywiole.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ś. p.

ANIELA ASZPERGEROWA.



Nazwisko zmarłej we Lwowie przed dwoma tygodniami artystki rozbrzmiewało głośną sławą na scenach polskich jeszcze w pierwszej połowie zeszłego stulecia; minęło bowiem lat sześćdziesiąt sześć od chwili, gdy młodzianka Warszawianka, podlotek wówczas, w r. 1836 wystąpiła po raz pierwszy na deskach teatralnych swego rodzinnego miasta i z niepospolitym talentem, z gorącym zapałem do sztuki poświęciła się zawodowi dramatycznemu.

Inne to były czasy, inaczej pojmowano sztukę, inaczej uważano teatr, który jako jedna z instytucji społecznych był w swoim rodzaju szkołą języka i dobrych obyczajów; artyści cenili swoją godność i wysoko traktowali swe powołanie. Szło się na scenę nie dla chleba i kariery, ale z prawdziwego zamiłowania; miało się w duszy ideał i wielkie ambicje, pragnęło się sławy i laurów artysty, w sztuce tylko szukając rozkoszy i celu życia.

Do tego właśnie pokolenia należała Aniela z Kamińskich Aszpergerowa i jego tradycją przenikniętą była aż do zgonu.

W początkach swego zawodu miała przed oczyma wzory niepospolitych artystek, jak Halpertowa, Kurpińska, Werowska i inne, oddychała atmosferą wielkich talentów, obcowiała z najcełniejszymi przedstawicielami sztuki scenicznej w owej epoce, ale dla młodziankiej aspirantki do ról bohaterskich i amantek salonowych droga, jak zwykle w teatrze, była utrudnioną współzawodnictwem ze starszemi i bardziej wyrobionemi koleżankami.

Po dwóch latach praktykowania w Warszawie, przeniosła się do Wilna, ztamtąd znowu ją sprowadzono do Warszawy i próbowano zatrzymać na dłużej, wszelako nie było jej sądzonem tutaj wybić się na wyżyny i zająć pierwszorzędne stanowisko, bo dopiero po zamążpójściu i przesiedleniu się na stały pobyt do Lwowa, w r. 1842-im rozpoczął się okres świetnych tryumfów Aszpergerowej.

Scena lwowska właściwie była kolebką jej sławy.

Na tej scenie z małemi przerwami spędziła prawie cały swój żywot artystyczny i do sędziwego wieku była jej chluba i ozdoba.

Występowała gościnnie w Krakowie i Poznaniu, przez pewien czas odsunęła się zupełnie od teatru w zacisze domowe, lecz miłość dla sztuki i ambicya niespożytego talentu sprowadziły ją znowu w r. 1869-ym za dyrekcji Adama Miłaszewskiego na deski sceniczne.

Teatr we Lwowie przechodził różne zmienne koleje, ale miał świetne czasy, gdy takie talenty, jak najlepszy z Cześników, Nowakowski, gdy jeden z największych tragiczków polskich Smochowski, komicy, jak Hennig, charakterystyczne, jak Hubertowa, amanci, jak Wilkoszewski, pierwszorządne gwiazdy, jak Davison, Modrzejewska, Popielówna, Rychter, Rapacki i inni dodawali blasków tej scenie, na której jednak talent Aszpergerowej błyszczał najdłużej i najjaśniej przez lat kilkadziesiąt.

W tragedii i dramacie nie miała wielu współzawodniczek nigdzie, nawet i na scenach zagranicznych; nazwisko jej na afiszu było zawsze dla publiczności zapowiedzią silnych i głębokich wrażeń, — umiała przejmować tłumy i wstrząsać do głębi serca widzów. Gdy grała w takich sztukach, jak: „Balladyna“ (Wdowa, niezastąpiona do dzisiejszego dnia), „Uriel Acosta“ (matka Uriela), „I radość przestrasza“, — oraz w wielu innych, bywały chwile, w których cały teatr płakał...

Głębią i szczerością uczucia, nastrojem tragicznego pathosu, jakimś dziwnie szlachetnym tonem poezji i wzniosłości potrafiła każda wielką rolę zamienić w prawdziwą kreację, po której zostawała długa pamięć na scenie.

Przed laty kilkunastu, gdy niepowodzenia materyalne gnębiły przedsiębiorców lwowskiego teatru i pewna część trupy wybrała się na sezon letni do Warszawy, przez poczucie koleżeństwa Aszpergerowa przyłączyła się do młodszych i zrobiła duże poświęcenie, zgodziwszy się wystąpić na... scenie ogródkowej, w dawnym Eldorado; była już wówczas w wieku sędziwym, w nieodpowiednich warunkach, w niewłaściwym dla siebie repertuarze, nie mogła sprawić należytego wrażenia i nowszemu pokoleniu publiczności przedstawić się w takim blasku, w jakim ją ojcowie i dziadowie jeszcze podziwiali.

Gościła krótko i wróciła do Lwowa, gdzie pamiętano jej tryumfy i otaczano równym szacunkiem wielką artystkę, jak i znaną kobietę.

Półwiekowy jubileusz jej zawodu obchodził Lwów w r. 1884-ym z wielką uroczystością, a każdy jej występ w późniejszych latach, każde odwiedziny w teatrze, gdy zupełnie zeszała ze sceny, sprawiały silne wrażenie na artystów i na publiczności; była bowiem jakby wcieleniem świetnej tradycji i uosobieniem jednego z tych wyjątkowych talentów i indywidualności scenicznych, których nowsze czasy sztuce nie dostarczają.

Pomimo dziewiętego krzyżyka na barkach, zachowała zadziwiająco świeżość umysłu i pamięć niezwykłą, a dla sztuki w wysokim stylu niewygasła cześć i zamiłowanie.

Usnęła spokojnie w objęciach śmierci po krótkich cierpieniach, nabawiwszy się zapalenia płuc na kilka dni przed zgonem. Jako kobieta, w życiu prywatnym i rodzinnym celowała wielką godnością i wyróżniała się zawsze wśród towarzyszek zawodu; jedyną córkę wydała za pułk. Giełguda, który zamieszkały w Londynie zajmował wyższy urząd w angielskim ministerium wojny, wnuczka zaś jej wyszła za mąż za znanego malarza i profesora Akademii sztuk pięknych w Krakowie, p. Axentowicza.

Pamięć niepospolitej artystki i prawdziwej kapłanki sztuki pozostanie na zawsze w dziejach sceny polskiej.

M. G.

WĘDRÓWKA PO SALONACH

Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.



(Dokończenie).

W zmniejszonej obecnie sali od ulicy Królewskiej spotykamy obraz pani Maryi Gażyczowej, przedstawiający starego włościanina, dobrze wykończony i tak w kolorycie, jak w oświetleniu wyborny.

W zakończeniu listy kobiet, pracujących na polu sztuki, winniem zwrócić uwagę na piękny zbiór złocieni, pędzla pani Wiesiołowskiej znanej przewodniczki szkoły malarskiej.

Na wprost obrazu pani Gażyczowej zawieszono 4 *panneaux*, przedstawiające cztery damy w kartach na złocionem tle, traktowane nieco *à la art nouveau*, dobrze namalowane przez K. Wasilkowskiego. W pobliżu, ładny pejzażek leśny Wasilewskiego, mimo niekorzystne zawieszenie (zbyt wysoko) — ujawnia dużo zalet.

Dąbrowskiego Stefana, skromny pejzażek, Jasińskiego Władysława dwa obrazy, scena rodzajowa «Zaloty» oraz większy «Chłop przy koniach zapalający fajkę» — oddane z dużym zasobem talentu; w drugim, przy starannym rysunku, razi tylko maść koni, której u nas się nie spotyka.

W tymże rodzaju są prace Radziejewskiego; nie są one starannie wykończane, ale nastrój i koloryt zbliżają się do prawdy i świadczą o talencie artysty.

W dużej sali na lewo, posiadającej również oświetlenie górne, trzy ściany sali zajęły prace znakomitego artysty Wilhelma Kotarbińskiego. Artysta tej miary, zawsze przedstawia dla oka znawcy coś ciekawego, a tematy i barwność muszą każdego zatrzymać. Dla mnie są to rzeczy chłodne, niemniej nie umiałbym się spierać o pojęcie, a tembardziej o wykonanie. Duże wrażenie czyni obraz, przedstawiający szereg aniołów, spływających na chmurze, która przykryje wkrótce sfinksa, ucieleśniającego kolos kultury starożytnej. Jest to jedno z piękniejszych w tym cyklu dzieł pracowitego malarza, zatytułowane tylko jakoś urzędownie, niedosyć podniosłe brzmi: «Awangarda Jezusa Chrystusa.»

Każdy z tych obrazów, przeważnie o mistycznym nastroju, zasługuje na bliższą uwagę i o każdym dałoby się, po bacznej obserwacji wiele powiedzieć, niepodobna jednak zbyt długo zatrzymywać czytelniczki przy jednym autorze, dodam więc tylko, że i pejzaże Kotarbińskiego: „Widok morski“ „Wschód słońca“ „Nenufary“, — jakkolwiek niezawsze z natury czerpane, (nenufary), są to dzieła niepowszednie i ciekawe.

Streściwszy niejako wrażenia, otrzymane z przeglądu dzieł malarstwa, pomieszczonych na ścianach salonów górnego piętra, nie należy pominąć nielicznych posągów, jakie zdobią salony i halę schodową. Zwracamy co prawda uwagę na rzeczy już znane, lecz piękne dzieło sztuki ma zawsze swój powab, im dłużej zaś je obserwujemy, tem więcej odkrywamy w niem piękności.

Pierwsze miejsce należy się «Gładyatorowi» Welońskiego, któremu może trochę za prze-

stronno w użyciu schodowej i którego nie ze wszech stron podziwiać możemy, niemniej należy przejść obok takiego dzieła, nie popatrzywszy nań przez dłuższą chwilę; wyżej pomieszczone są marmury: z prawej strony spokojna, wzniosła postać „Sztuki“ Rygiera, z lewej z paryzką finezyą wykończona „Siła brutalna zwalczająca geniusz“, dłuta Godebskiego. Opodal, w jednej z sal przejściowych, pomieszczono brązową figurę naturalnej wielkości i zatytułowaną «Zima», modelowaną z talentem przez prof. Laszczkę.

Opuściwszy górne salony, zanim wejdziemy w progi sali rzeźbiarskiej, powrócić musimy na chwilę do dziedziń malarstwa, bo oto w parterowym salonie bibliotecznym, mieści się wystawa obrazów F-ka Żmurki.

Żmurko, wyróżniający się swym właściwym sposobem malowania, ma zwyczaj urządzania w pewnych odstępach czasu przeglądu prac swego pędzla i obecnie nagromadzonych jest tu jakieś dwadzieścia główek niewieścich, w odzwierciedleniu których artysta może być dla kogoś monotonnym, dla pań jest jednak zawsze miłym.

W pośrodku tego zbioru ustawiono dużych rozmiarów obraz, tak traktowany, jako i obramowany w stylu Odrodzenia, z tytułem: *Laudemus feminam* — Hold i panowanie oddane postaci niewieściej. Obok znajduje się portret własny artysty, malowany z wielkim poczuciem i elegancją, cechującymi utwory tego artysty, jakkolwiek mało podobny do oryginału.

Ku ornamentacyi tego saloniku postawiono przy wejściu nieduży brązowy posąg. „Ś-ty Sebastyan“, pamiątka po dłucie zmarłego Pruszyńskiego, jest to także dzieło, które ze względu na swoją piękność, do niestarzejących się zaliczonym być winno.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słów kilka o rzeźbie. Rzeźba mało jest u nas uznawana i niesłusznie odsuwana na plan dalszy a przecież nie można być estetycznie wykształconym człowiekiem, dopóki się nie nabędzie poczucia piękna w formie, w rysunku, w kształcie, bez pomocy barw.

Zanim wejdziemy do sali rzeźb, zwracamy uwagę na dwie figury, w obu końcach pięknego westibulu ustawione.

Z wieku (bo urzędów sztuka nie zna) należy się pierwsze miejsce dziełom znanego rzeźbiarza Brodzkiego, którego «Venus» z marmuru karraryjskiego i „Perseusz“ z brązu, zdobią naszą Wystawę. Oba dzieła są piękne i wykończone starannie, lecz trochę banalnie i rzecz można po dawnemu pojęte i wykonane. Nie należy jednak zapominać, jak cenionym artystą Brodzki był już przed trzydziestu laty.

Drugą stroną przedsiionka, obok schodów, zdobi marmurowa grupa Godebskiego, zatytułowana «Sen o sławie.» Tytuł może zupełnie odpowiedni, trudno bowiem śnić, szybując na pegazie.

Przy wejściu do sali rzeźb spotykamy rzeczy, o jakich się dawnym rzeźbiarzom nie śniło. Kuszą się obecnie na uplastycznienie ducha, upostaciowienie żywiołów lub oddanie momentów psychicznych z życia ludzkiego. Zadanie kolosalne, tembardziej pociągające.

Z jednej strony widzimy Biegasa: «Walke o byt», «Noc» i „Wicher“, z drugiej — Jasien-

skiego Józefa: «Zamyślenie»—«Ekstazę» (bardziej senność) i «Smutek.»

W pierwszym odczuwamy więcej siły, obu jednak artystów należy przyjąć z uznaniem.

Środek sali zajmują dzieła znanego od niedawna Gabowicza Józefa, zwłaszcza gipsy „Samobrona“ i «Matka,» zapewniają mu poczesne miejsce w szeregu polskich rzeźbiarzy. Ładnie modelowany, z dobrze pochwyconym ruchem jest młody rybak, odlany w bronzie, tegoż samego artysty.

Z dawniej znanych artystów znajdujemy Madejskiego „Upiór“ — studium — i główkę dziecka w marmurze, rzeczy dobre, jak z pod dłuta takiego artysty wyjść musiały, ale nie dające miary jego talentu i uzdolnienia.

Są tu jeszcze rzeźby — Brzega, «Góral siedzący» i Jagmina portret, oraz fragment z bronzu.

Z kobiet rzeźbiarek, spotykamy tylko pracę p. Eufemii Kochanowskiej — studium.

Ze wszystkich atoli rzeźb najbardziej się wyróżnia Wacława Szymanowskiego: „Śpiące dziecko.“ Jaka prawda, obok miękkości w modelowaniu!

Przegląd nasz zakończamy wzmianką poświęconą medalierom: Łopieńskiemu, Trojanowskiemu z Paryża i Wittigowi. W zbiorze medalów Łopieńskiego spotykamy profile znanych osobistości, jak: Arcybiskupa Popiela, Juliana Wieniawskiego, C. Godebskiego, prof. Kosińskiego. Również dokładne są roboty Trojanowskiego.

Zakończywszy na tem przegląd dzieł sztuki zebranych w salonie Zachęty, nie miałem na celu ścisłej krytyki, w użyteczność której co prawda w dziedzinie malarstwa nie bardzo wierzę, lecz pragnąłem zwrócić uwagę Czytelniczek na wiele dzieł, zasługujących na nią, a często w pobieżnym oglądaniu pomijanych. Miałem jeszcze i tę myśl ukrytą, iż zachęcę czytelniczki do uważniejszego obejrzenia nagromadzonych prac, wedle podanych wskazówek, a po kilkakrotnej podobnej wędrówce, jestem pewien, że pozostawiona sobie, znajdzie przyjemność i możliwość odczuwania zalet artystycznych przy oglądaniu dzieł sztuki. Albowiem zmysł widzenia, możliwość oceny, pochwylenie różnic i właściwości, tylko przez wykształcenie smaku siłą obserwacji nabyć można. Rozumie się, że mówimy tu o naturach, mających ku temu usposobienie wewnętrzne i poczucie piękna wrodzone.

Tym więc z pań, którym poczynione w tym artykule wskazówki przydać się mogą i zachęcać do zwiedzenia teraz Wystawy, postaramy się po pewnym czasie, ze zmianą obrazów, przedstawić znów nasze uwagi, dążąc, jak to mówiliśmy, do wykształcenia smaku, a tem samem przyczynienia się pośrednio do rozwoju naszej krajowej sztuki.

S. T—tyk.



Z listów do „Bluszczu.“



Londyn, w styczniu.

Po świętach Bożego Narodzenia i dniu noworocznym, które zawsze niemało ożywienia sprowadzają w życiu wielkiego miasta, stolica nad Tamizą powróciła do poprzedniej ciszy i spokoju.

Wszyscy, należący już nie tylko do owych, tak zwanych tutaj «upper ten thousands» (ponad 10 tysięcy), lecz w ogóle do sfer mogących myśleć o zabawie, z niecierpliwością wyczekują końca żałoby dworskiej, czyli hasła do rozpoczęcia zabaw i wesołych uroczystości. Obiecują tu sobie należyte powetować czas postu przymusowego, uroczystość zaś koronacyjna ma być kulminacyjnym punktem wyczekiwanego sezonu zabaw.

Dziwić się, doprawdy, należy, iż tylko żałoba dworska powstrzymuje Anglików, zwłaszcza wysokie sfery, od chęci oddawania się wesołym rozrywkom. Żałoba zostanie zdjętą w lutym, ale czy z nią razem zniknie widmo ohydnej wojny, taki straszny cień rzucającej na, bądź co bądź, kulturalny i cywilizacyjny wysoko stojący naród.

Snać, do wszystkiego przywyknąć można i aczkolwiek znaczna część młodzieży znikła z arystokratycznych salonów, wkrótce mają się one napęlić gwarem rozbawionych gości.

Wprawdzie król, właśnie w tych dniach, przy otwarciu parlamentu, starał się w mowie tronowej rehabilitować nieco, wykazaniem, że na tak olbrzymią liczbę ludzi, jaka pozostaje w niewoli, liczba umierających łatwo da się usprawiedliwić. Usprawiedliwienie owo jednak nie sprawiło na nikim głębszego wrażenia. W ogóle mniej tu myślą, a jeszcze mniej mówią o wojnie, niżby się Wam zdaleka zdawało.

Anglicy, w swej wielkiej zarozumiałości sądzą, że z całego świata zjeżdżać się będą ciekawo wspaniałych uroczystości koronacyjnych, lecz zdaje mi się, że się zawiodą i bardzo na kontynencie osłabiona sympatya dla Anglików, powstrzyma wielu od podróży. Bogacze amerykańscy, o, ci, to co innego!... oni, a jeszcze bardziej ich córki, dopiszą niechybnie, albowiem tym zawsze imponują «dwory.»

Razem ze światem łakącym zabaw, końca żałoby wyczekują też i magazyny miejscowe, oraz fabryki materyi jedwabnych. Poczyniły one olbrzymie przygotowania i prawdopodobnie także zawiedzionemi zostaną.

Jak wszędzie na świecie, tak samo i tutaj, możni mają zwyczaj wywozić kapitały po za granice kraju i większość magnatek angielskich sprowadza stroje z Paryża.

Jak się to dzieje, że naród tak dojrzały, jak Anglicy, nie wyrósł jeszcze ze śmiesznych, przestarzałych zwyczajów, że ludziom, posiadającym tak wysokie wykształcenie ogólne, takie racjonalne prawa, potrzebne są jeszcze istic operetkowe błyskotki, dobre dla arcydzieciących umysłów. Śmiać mi się chce, gdy pomyślę o przepisach, obowiązujących szczęśliwych wybranych, będących w posiadaniu koniecznych kwalifikacji do uczestniczenia w akcie koronacyjnym. Każdy z baronetów, wicehrabiów, hrabiów, margrabiów i księżąt oraz

żony tychże, mają stroje z góry przepisane, od których ani na włos odstąpić im nie wolno. Panowie i panie w jednakowych ukażą się płaszczach, a długość tych, liczba gronostajów i czarnych linii na kołnierzach oznacza ściśle wysokość rodu i tytułu.

Jeszcze śmieszniejszymi, niż płaszcze, będą korony, bez których żaden pan, ani żadna żona para nie będą dopuszczeni do uroczystości. Dla jednych korona taka składa się z pozłoczonej obręczy i sześciu gałek srebrnych, dla innych z takiejże obręczy, większej liczby gałek i paru liści poziomkowych, dla innych jeszcze, z obręczy i samych liści poziomkowych; nadto każda obręcz okala czapkę z czerwonego aksamitu, zakończoną złotym chwastem.

Wyobrażam sobie, ile to gorzkich łez wyleje nie jedna dama nad tem szpetnem ubraniem głowy, które w miejsce brylantowego dyademu lub przepaski z pereł, przypiąć będzie musiała na utrefione włosy. Ambicya z kokieteryą nielada stoczą walkę.

Do osobliwości Londynu, godnych obejrzenia, należy dom, zamieszkiwany niegdyś przez malarza Leightona, w którym znakomity artysta pracował aż do chwili śmierci.

W domu tym od pewnego czasu odbywają się narady i zebrania Stowarzyszenia młodych dziewczątek («The girls Realm Guild»), co jest dowodem wielkiego ze strony spadkobierców Leightona uznania dla młodocianych stowarzyszonych.

Stowarzyszenie to zawdzięcza swe powstanie działalności kilku filantropijnych dam, należących do wyższego Londyńskiego świata, które wzięły sobie za zadanie w dziewczynkach swej sfery wcześniej budzić współczucie dla niedoli mniej szczęśliwych rówieśników, przyzwyczajając je, żeby nie tylko deklamowały pięknie o dobrem sercu i gotowości wspomagania bliźnich, lecz żeby istotnie delikatne, różowe swe rączki z uściskiem serdecznej pomocy wyciągały do nieszczęśliwych opuszczonych, obdartych i choćby nawet brudnych dzieciaków. Głównym celem «królestwa» (realm) dziewczynek jest zapewnienie biedactwu, wyciągniętemu z nędzy moralnej i fizycznej, dobrej opieki, odpowiedniej nauki, najczęściej zaś — czystego łóżeczka w szpitalu dziecięcym.

Z niesłychaną żarliwością, z entuzjazmem właściwym młodocianemu wiekowi, Stowarzyszenie przyjęło na siebie święte obowiązki i dziś już może się pochwalić, iż niejedno dziecko uratowało od niechybnej śmierci. Z zaparciem się siebie młodzieńskie członkinie Stowarzyszenia opróżniają swe skarbonki, odmawiają sobie częstokroć różnych drobnych przyjemności i nie darują żadnemu wujaskowi czy kuzynkowi, aby tylko jak największe sumy zbierać na kupno łóżeczek, pościeli, ubrań, a często i zabawek, dla najuboższych swych współbraci.

Nie bacząc na to, że «The girls Realm Guild» liczy w swym składzie tylko dziewczynki w krótkich chodzące sukienkach, posiada ono, jak na prawdziwie angielskie Stowarzyszenie przystało, surowo określoną ustawę, roczne zaś zebranie ogólne ma na celu zdanie sprawy z działalności młodocianych członkiń i obmyślenie środków propagandy. Jednym z naj-

bardziej zawsze przyciągających sposobów bywa koncert, albo przedstawienie teatralne, z uwagi na wiek stowarzyszonych połączone z przyjęciem, na którym stoły uginają się od słodyczy.

Przechodzimy więc wspaniałą, wielką halę, oblaną z góry, przez oszkloną kopułę, lekko przyćmionem światłem, które na ścianach, wyłożonych zielonemi najolikiowemi kaflami, niepewne, migotliwe sieje blaski. Cudowny efekt! Za płynącym tłumem posuwamy się po przeszlicznie rzeźbionych schodach i mijamy liczne, porozwieszane szkice i studia, świadczące wymownie, jak niedoścignionym mistrzem w rysunku był Leighton.

Zbliżamy się do wielkiego kurytarza, połączonego z mąrytańskim balkonem o złoconej, kosztownej balustradzie. Szmer głosów dziewczęcych uderza nasze ucho, od czasu do czasu podnosi się srebrny śmiech, zaraz atoli przygłuszony. Na kurytarzu istny rój pszczoł tylko co poruszony. Milutkie twarzyczki jasno i ciemnowłosych, niebiesko i czarnookich dziewczątek pełne są przejęcia i powagi. Na fotelach i kanapach zasiadły mamy w elegancjach, wizytowych toaletach, nie brak też podlotków starszych, a nawet i dorosłych, strojnych panien. Tu i tam rozmawiają one z młodzieńcem we fraku i z kwiatem w butonierze, lub z jakim starszym dystyngowanym jegołościem. A ponad wszystkim unosi się atmosfera prawdziwej wytworności, niby woń delikatna, leciuchna, aczkolwiek ożywcza, — nikt nie odzywa się nazbyt głośno, choć w oczach wszystkich widnieje żywe zajęcie. Barwny, śliczny rodzajowy obraz; Stevens niegdyś malował podobne.

W bardzo dużej pracowni, zawieszonej szkicami i obrazami po zmarłym mistrzu, kończącej się z jednej strony piękną galerią, stojącą w popiersia cesarzów rzymskich, z drugiej — głęboką niżą, i utrzymanej w gorącym tonie terrakoty, liczne towarzystwo złożone ze «stowarzyszonych» oraz ich dorosłych krewnych oczekiwało muzykalnych produkcji. Pierwszorzędni artyści pośpieszyli z bezinteresownym koncertem do «królestwa» dziewczynek. Obecny *enfant gaté* Londynu, baryton, Oumiroff, najlepszy uczeń Faura i rzeczywiście śpiewak znakomity, obdarzony fenomenalnie pięknym głosem rozpoczął muzykalną, arcy zajmującą *séance*. Nazywa się on istotnie Nepomuck i jest Czechem z rodu. Do fortepianu zasiadła wyborna pianistka Lina Multrow, nadto śpiewały jeszcze pani Hincks i jej młodziotka, urocza córka. Niespodzianką w koncercie były tańce, wykonane przez tą samą miss Hincks, która z niekłamanem natchnieniem śpiewała z matką przy akompaniamencie organów i harfy.

Oczom własnym nie wierzyłem, gdy ujrzałem młodziotką śpiewaczkę, przemienioną nagle w iście typową a śliczną hiszpańską tancerkę. Gdy tańczyła Bolero di Cadiz, zdawało się, że gorąca krew matki (pani Hincks, dawniej du Cros, jest Kreolką) zakipiała w córce. Najszańsze tempo nie było dla miss Hincks za szybkie, najniebezpieczniejszy ruch nie był za trudny. W jej wygimnastykowanej, wyćwiczonej nadzwyczajnie i giętkiej, jak trzcina postaci, wszystko było wdziękiem, wytwornością i, że tak powiem, przedziwną nai-

wnością. Tak po tym pierwszym tańcu, jak i po następnym «Leguerdille» w sali powstał zapał nieopisany i przyznam szczerze, iż podobnej tancerki w życiu mojem nie widziałem.

Londyn, który musi mieć zawsze swoje «bożyszczka» (*idols*), entuzjastycznym darzył w tym czasie przyjęciem pianistę Rosenthala, po nim zaś Godowskiego. Wspominam o nich z tym większym naciskiem, że na krótko przed tem tak jeden, jak i drugi zbierali tryumfy w Warszawie.

Z nowych sztuk teatralnych dużem powodzeniem cieszy się «The country girl» (Wiejska dziewczyna), ilustrowana muzyką, wystawiona w Daly's Theatre. Autorami są pp. James Tanner (nie ten, który skazywał się na śmierć głodową) i Lionel Monckton.

Przedstawień na cele dobroczynne — powódź, tym przynajmniej żaloba nie przeszkadza. Bazyry, wenty, «recitals», koncerty, prelekcje, przedstawienia teatralne, amatorskie i nieamatorskie, o, i Angliacy umieją bawić się dobroczynnie!..

Sir Ernest Cassel (to już nie zabawa), ofiarował na ręce króla Edwarda dwa miliony rubli na cele dobroczynne wedle uznania króla. Ten ostatni przeznaczył dar ten wspaniały na budowę wzorowego Sanatorium dla suchotników. Znaczną sumę wyznaczono, jako premii za najlepsze plany, na które ogłoszono konkurs.

Zetes.



ZŁOTE ZIARNKA.



Wasz to zwykły obyczaj, cierń w życia przeciągu,
A potem martwe wieńczyć zwłoki na posągu.
A. Naruszewicz.



Kronika działalności kobiecej.



— Panna Ellen Wester przełożyła na język szwedzki powieść Orzeszkowej „Dziurdziowie“, pod zmienionym tytułem: *Haexan* (Wiedźma“). Okładkę zdobi piękny rysunek Forsstroma, przedstawiający jedną z ważniejszych scen powieści. Szwedzki malarz umiał wiernie zachować typy i stroje naszych włościan.

Śliczny obrazek znakomitej naszej autorki, „Siteczko“, przełożyła na język fiński pani Maila Mikkola (Talvio), żona profesora języków słowiańskich przy Uniwersytecie w Helsingforsie. Przekład ten drukowany był pod tytułem: „Seula“, w czasopiśmie fińskim „Valvoja.“

— Na zebraniu ogólnego Stowarzyszenia kobiet w Wiedniu, prezydująca zgromadzenia, panna Augusta Fickert, wypowiedziała mowę, w której dowodziła, iż bezcelową byłaby działalność kobieca, gdyby społeczeństwa nie prowadziła do uszlachetnienia. Mowę tę wywołały debaty nad losem kobiet boerskich, podczas obecnej wojny. Po panie Fickert zabrał głos doktor medycyny Senz, i barwnymi, porywającymi słowami głęboko poruszył całe zgromadzenie. Przebywał on czas jakiś w obozie Boerów, a następnie u Anglików w nie-

woli, jako więc naoczny świadek czerpał dane z własnych obserwacji. Uchwalono postanowienie, ażeby do kobiet angielskich wystosować protest przeciw strasznej wojnie w Afryce południowej. Protest ów ma się też dostać do rąk królowej.

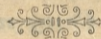
— Na zebraniu Towarzystwa rolniczego w Siedlcach, p. Wanda Kuczyńska odczytała referat „O gospodarstwie kobiecym“ i w referacie tym z wielkiem zrozumieniem rzeczy i siłą położyła nacisk na potrzebę specjalnego wykształcenia kobiet w gospodarstwie. Wykształcenia owego nabyć można w szkołach: hr. Platerówny w Chyliczkach, hr. Zamoyskiej w Zakopanem, oraz w praktyce. P. Kuczyńska zebrała wiele bardzo cennych uwag i wskazówek, odnoszących się do każdego działu gospodarstwa kobiecego, jak np. mleczarstwa, hodowli drobiu, trzody chlewnej, ogrodnictwa i t. p. P. Kuczyńska proponuje utworzenie sekcji przemysłu drobnego, mającej na celu zaopiekowanie się gospodarstwem kobiecym.

Wybornie opracowany referat p. Kuczyńskiej, przyjęty był gorącemi oklaskami.

— Peszteński Bank Handlowy był pierwszą instytucją tego rodzaju, w której przyjmowano kobiety na korespondentów i urzędników. Lecz aczkolwiek bank ów już od lat dwudziestu posilkuje się pracą kobiet, w wynagradzaniu ich pozostał wiele za innymi pokrewnymi instytucjami, posilkującemi się kobietami, dopiero od bardzo niedawna. Panna Friedmann, pracująca w wyżej wzmiankowanym Banku, stanęła na czele trzydziestu swoich koleżanek i energicznie wystąpiła do Zarządu o zaniechanie wyzysku i podniesienie płacy pracowniczkom. Ciekawą jest rzeczą, jaką będzie odpowiedź Banku.

— Znana od lat kilku w literaturze francuskiej autorka, pisząca pod pseudonimem Daniel Lesueur, wydała nową, bardzo zajmującą książkę p. t. „L'honneur d'une femme.“ Daniel Lesueur jest najbardziej ruchliwą i żywotną przedstawicielką kwestyi i działalności kobiecej w literaturze francuskiej.

Z. S.



ODPOWIEDZI.

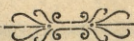


— Pani H. S., z Podolan. — Wiersz „Do kobiety“ jest tak znany i tyle razy przedrukowywany w zbiorze Poezyi Konopnickiej i w rozmaitych Antologiach, że go na życzenie Szan. Pani w całości powtarzać w „Bluszczu“ nie możemy. Kto się ukrywa pod pseudonimem: Bohowityń, nie wiemy, a gdybyśmy nawet wiedzieli, bez pozwolenia autora nie moglibyśmy nazwiska wymienić ze względów łatwo zrozumiałej dyskrecyi.

Treść numeru:

Przy kominku (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Z zagadnień, przez Adolfa Strzeleckiego. — Przystań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy). — Nad modrym Dunajem (z poematu «Sobieski pod Wiedniem»), przez Deotymę (ciąg dalszy). — Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku: II. Eleonora, przez Czesława Jankowskiego (ciąg dalszy). — Nad wodą jasną i czystą... przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Ś. p. Aniela Aszpergerowa, przez M. G. — Wędrowka po salonach Towarzystwa sztuk pięknych, przez S. T.—tyka (dokończenie). — Z listów do «Bluszczu»: Z Londynu, przez Zetesa. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Złote ziarnka. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz siódmy powieści Ryszarda Henryka Savage p. t. «Nowoczesny korsarz.»
Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 22). — Przepisy gospodarskie.



„ZORZA“

Pracownia Haftów Stylowych
ORAZ
SZTUKI STOSOWANEJ.
WARSZAWA, WSPÓLNA № 45.

Pracownia i Magazyn Wrobów Srebrnych Złotych i Brylantowych
J. LIPOWSKI

w Warszawie, przy ulicy *Trębackiej* Nr. 9.

Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki, koleżki, bransolety, breloki, krzyżki, łańcuszki damskie i męskie, oraz srebro stolowe i fantazyjne. Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile i wogóle na wszelkie obstalunki w zakres jubilerstwa wchodzące. — Ceny fabryczne.

HERMAN & GROSSMAN

Warszawa, 16 Mazowiecka 16.

PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN

Fortepiany, Pianina, Organy

fabryk krajowych i zagranicznych w wielkim wyborze

Sprzedaż na rozpłaty miesięczne po 25 rb.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW

Angelus — Orchestral „SYMPHONY”
Pianino — „CROWN”

Cenniki ilustrowane gratis.

Telefon №. 812.



Egzystuje
od r. 1878.

Parowa Farbiarnia i Pralnia Chemiczna

Egzystuje
od r. 1878.

p. f. ŁUKOMSKI

Warszawa, BRACKA Nr. 6.

Przyjmuje się do prania i farbowania garderobę damską i męską bez prucia, gobeliny, firanki, dywany, chodniki; odświeżanie mebli i apartamentów z gwarancją firmy w razie uszkodzenia. Specjalna maszyna, sprowadzona z zagranicy do dekatyzowania sukna, kortu, syberyjny i t. p. Pranie firanek, portyer, chodników przez specjalistów, których zakład wysyła na własny koszt.

Ceny niskie, lecz stałe.

Dr. Z. TAUSSIG.

Dziecko do lat dwóch

Rady i wskazówki dla matek, przy odżywianiu i pielęgnowaniu dzieci tudzież zapobieganiu ich chorobom.

Przekład D-ra S. L.

Cena kop. 60.

Nakład księgarni JANA FISZERA w Warszawie.

№ 9. Nowy-Świat № 9. 19.

„Miesięcznik Kurjera Polskiego“

pod redakcją Ludwika Straszewicza.

4 rub. roczn., 2 rub. półroczn., 1 rub. kwart. zarówno w Warszawie jak i na prowincyi (można prenumerować oddzielnie bez „Kurjera”).

CO MIESIĄC.

duży tom, objętości 192 str., treść bogata, obficie ilustrowana (po kilkadziesiąt ilustracji w każdym tomie). Artykuły wstępne. Rozprawy polityczne, historyczne, społeczne, ekonomiczne, literackie. Sprawy bieżące. Przygody podróżników. Opisy ludów, oraz ich zwyczajów i obyczajów. Interesujące wypadki z życia społecznego i przyrody. W każdym numerze dwie powieści i nowela. Mody, rozmaitości, przepisy, gry, zagadnienia.

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, JASNA № 2, róg Ś-to Krzyżkiej.

WYSZŁY Z DRUKU

WINCENTEGO
KOSIAKIEWICZA

POEZJE

Są do nabycia w warszawskim kantorze

KRAJU Marszałkowska 119.

Cena 1 rb. z przesyłką rb. 1.25.

SPECYALNA FABRYKA FARTUCHÓW I HALEK

M. Raszkes i S-ka

Muranowska
Nr. 14. 18

We wszystkich księgarniach sprzedają się dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki Języków Obcych bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i kluczem, pod tyt.

SAMOUCZEK

Polsko-Francuski kurs I-szy

kop. 1.20 — kurs II-gi kop. 3.20.

Gramatyka polsko-francuska kop. 1.20.

Polsko-Ruski kurs I-szy k. 1.40.
kurs II-gi kop. 1.80.

Skład u autora, Warszawa, Złota №. 6.

DOMINA

od rb. 3.

Maski

Rękawiczki

Wachlarze

Perfумы

MAGAZYN GALANTERYJNY

W. Golińskiej

TEATR.

26

TYGODNIK

„Naokoło Świata“

W WARSZAWIE . . . rocznie rubli 4
Z przesyłką pocztową „ „ 5
Zagranicą . . . „ „ 6

NUMERY OKAZOWE BEZPŁATNIE

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, ul. Ś-tej Barbary № 8

Tygodnik NAKOŁO ŚWIATA drukować będzie w półroczu, bieżącym ozdobione licznymi ilustracjami oryginalne prace podróżnicze.

D-ra FR. NEUGEBAUERA:

„Wspomnienia z wycieczki na Szpicberg i wybrzeża Norwegii“.

LEOPOLDA JANIKOWSKIEGO:

„Polska wyprawa do Afryki“.

Generała PAWŁA CHRZANOWSKIEGO:

„W POPRZEK AMERYKI“.

ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO:

„Listy z nad Morza Białego i Oceanu Lodowatego“.

Nowootworzony Magazyn Sukien
L. TRANTZ, Nowy-Świat 60

poleca wielki wybór gotowych bluzek, szlafroków etc. Za nowienia wykonywane są w przeciągu 24 godzin. 22.

SZKOŁA KROJU
I. GRĄBSKIEJ

CHMIELNA № 49.

Metoda własna, dyplomowana w Paryżu, bez linijek i poprawek krajać można wprost z materyalu. Patenty cechowe. 14

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Ant. STRÓMIŁO

25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwzrostniejszych. — Słoiarnia własna. — Ceny niskie.

NOWO-OTWORZONY

ZAKŁAD OGRODNICZY

B. SOLNICKI

ul. Marszałkowska № 85.

POLECA wszelkie roboty Ogrodnicze jako i Bukieciarskie po cenach bardzo przystępnych. 17

Album Sztuki Polskiej

Cena w oprawie Rb. 12.

